



Cena 5 zł  
(w tym 5 %  
VAT)  
indeks  
351245

**ЗДЕСЬ**

ПОХРОНЕНЫ БОЙЦЫ СЕРЖАНТЫ  
КРАСНОЙ АРМИИ ПОГИБШИЕ В  
БОЯХ С НЕМЕЦКО-ФАШИСТСКИМИ  
ОКУПАНТАМИ ПРИ ОСВОБОЖ-  
ДЕНИИ Г. РАДОМ  
16-1-1945 г.

**ВЕЧНАЯ СЛАВА  
ГЕРОЯМ**

TU SPOCZYWAJĄ  
ŻOŁNIERZE I PODOFICEROWIE  
ARMII Czerwonej POLEGLI W  
WALCE Z NIEMIECKO-FASZYS-  
TOWSKIMI OKUPANTAMI PRZY  
OSWOBADZANIU M. RADOŚCIA  
16-1-1945 r.

**WIECZYSTA SŁAWA  
BOHATEROM**

Nr 6  
(147)  
Radom  
listopad-  
grudzień  
2014

PROWINCJONALNY



**Na okładce:**

Obelisk ku czci żołnierzy Armii Czerwonej poległych  
w walce o wyzwolenie Radomia  
na cmentarzu prawosławnym w Radomiu  
fot. Stanisław Zbigniew Kamieński  
(10 listopada 2014 r.)

Pismo społeczno-kulturalne  
Nr 6 (147)  
Radom, listopad–grudzień 2014  
cena 5 zł ISSN 1506–5391

**Redaguje zespół w składzie:**

Anna Skubisz-Szymanowska – redaktor naczelna,  
Agata Morgan – sekretarz redakcji,  
Mariusz A. Dański, S. Zbigniew Kamieński,  
Jerzy Kutkowski, Ilona Michalska-Masiarz, Barbara Pikiewicz,  
Michał Płoski, Grzegorz Sasin, Anna Spólna,  
Mieczysław Szewczuk, Robert Utkowski

**Wydawca:**

Miejska Biblioteka Publiczna  
w Radomiu  
Adres redakcji:  
ul. J. Piłsudskiego 12  
26-600 Radom  
tel.: 48 360 23 67  
fax: 48 363 38 18  
e-mail: miesiecznik.radom@op.pl  
<http://facebook.com/miesiecznikprowincjonalny>

**Skład i przygotowanie do druku:**

Mariusz A. Dański

**Korekta:** Halina Bogusz**Druk:** MULTICOLOR

ul. Mikosa 19/2  
26-600 Radom  
e-mail: multicolor@multicolor.nazwa.pl

Materiałów niezamówionych redakcja  
nie zwraca i zastrzega sobie prawo  
ich skracania i redagowania.  
Jednocześnie zapewniamy  
integralność treści i formy  
utworów literackich.

Prenumeratę  
można zamówić  
listownie lub osobiście  
(Miejska Biblioteka Publiczna  
ul. Piłsudskiego 12, 26-600 Radom),  
jak również  
telefonicznie  
(48 362 87 88)  
i e-mailem  
([prom.mbpradom@op.pl](mailto:prom.mbpradom@op.pl))

Zespół „Miesięcznika Prowincjonalnego”  
dziękuje Panu Czesławowi Krukowi  
za współfinansowanie wydawnictwa w 2014 roku  
Biblioteka jest finansowana przez Gminę Miasta Radomia

## Od redaktora

„...ja w ogóle świąt nie obchodzę. U nas nawet stołu nie ma, więc nie ma przy czym usiąść. [...] Kiedy ktoś jest głodny, to w lodówce są parówki i coś tam jeszcze” – powiedziała w rozmowie dla „Wprost” Maria Czubaszek.

I dobrze, niech nie obchodzi, i niech nie ma. Jej wolna wola i wolny wybór.

A ja znam kobietę, którą ma stół, w lodówce ma szynkę, pieczone mięsa, sałatki, śledzia, karpia, barszcz, bigos, grzyby, uszka i nawet pierogi. Uszka ze sklepu, ale pierogi i cała reszta domowe. Jej własnymi rękami upichcone. Ma, bo lubi obchodzić. Świąta.

Na co dzień unika gotowania i kuchni raczej też. Ale nie przed świątami. Gotowanie, duszenie i pieczenie przedświąteczne, te charakterystyczne dla każdego rodzaju świąt zapachy, są jedyną i cudowną. Nie wie, jak to możliwe, ale nawet zmęczenie ją coś ją omija, mimo całego popołudnia, a czasem i wieczoru spędzonego w kuchni.

Lubi świąteczne dekoracje na stole, który zawsze robi się za mały, aby je wszystkie pomieścić, o jedzonku nie wspominając. Uwielbia świeży zapach choinkowego drzewka i lekko przykurzony zapach tylko ten raz w roku wyjmowanych z pudeł choinkowych ozdób. Uwielbia ciszę świątecznych wieczorów we dwoje i gwar rozmów przy stole pełnym gości. Nawet dzieciaki tarzające się po podłodze, leżące pod stołem – w tym jedynym świątecznym czasie jej nie przeszkadzają. Stają się w jakimś sensie jego częścią. Takimi niesfornymi świątecznymi stworkami, coś jak renifery Świętego Mikołaja.

Ta kobieta z ochotą robi też przedświąteczne porządki, chociaż są dokładniejsze i wymagają większego wysiłku niż takie na co dzień. Lecz po nich dom nie wygląda i nie pachnie pospolicie, jak po zwykłym odkurzaniu. Choć odkurzacz przecież ten sam.

Sprawia jej to wszystko zwyczajną frajdę. Może dlatego, że całkowicie różni się od codzienności. Od pośpiechu poranków, znużenia wieczorów, dni za krótkich na pracę i nocy za krótkich na sen.

Banał świętowania. I trud świętowania.

Cóż, można niebanalnie i bez wysiłku. Jak Czubaszek. Wybór należy do Ciebie.

Wesołych Świąt.

Anna Skubisz-Szymanowska



## W numerze

FOTOREPORTAŻ

**NASZE ŚWIĘTA**

Agata Morgan

SZKIC

**O RADOMSKIEJ RZEźBIE POMNIKOWEJ**

Stanisław Zbigniew Kamieński

ESEJ

**DRABINA (CZĘŚĆ XIII)**

Michał Płoski

**INACZEJ**

Dorota Majkowska-Szajer

PLASTYKA

**NOMEN WOMEN**

Lidia Ziemińska

GALERIA

**KRĄŻĄC MYŚLAMI PO TERENACH SZTUKI**

Mieczysław Szewczuk

FELIETON

**ŚWIĘTA NASZE POWSZEDNIE**

Robert Utkowski

RECENZJA

**TO WSZYSTKO RODZINA**

Anna Spólna

PUBLICYSTYKA

**CHOINKOWE MISTERIUM**

**I ŚWIĄTECZNE OZDOBY JANA KURZAŃKOWSKIEGO**

Ilona Michalska-Masiarz

TEATR

**NIE MA ZŁEJ PORY NA NIEBO**

Krystyna Kasińska

KINO

**GENE HACKMAN GRA NA SAKSOFONIE**

Grzegorz Sasin

MUZYKA

**TRZYNASTY NIĘ TYLKO NA JAZZOWO**

Krzysztof Majerczyk

Z KART HISTORII

**DWIE ŚWIĄTECZNE FOTOGRAFIE**

Marta Wiktoria Trojanowska

PRO MEMORIA

**RZEźBA JAKO SEN I OPOWIEŚĆ**

JACEK WALTOŚ

**ZDZISŁAW HEŃK**

Barbara Pikiewicz

KRONIKA

**PAŹDZIERNIK – LISTOPAD 2014**

w Galerii Prowincjonalnej  
**PRACE KRZYSZTOFA WRZOSKA**

3

6

9

12

14

16

19

21

22

23

25

27

30

32

34

37

38



**Nasze święta**

Agata Morgan

**M**yślę o świętach jak co roku w grudniu. Wczoraj w galerii moją uwagę przyciągnęły z magnetyczną siłą bombki choinkowe w kształcie łabędzi. Tu muszę rozwiać wątpliwości, które mogą pojawić się u Czytelników pisma o kulturze – nie była to galeria sztuki a galeria handlowa, zwana przez radomian „Gieesem”. Łabędzie wykonano tradycyjną techniką – szklane, dmuchane, o pięknych wysmukłych, nieco manierycznych kształtach. Takie jak lubię, takie jak pamiętam z choinki w moim rodzinnym domu. A jednak różniły się ogromnie – te wczoraj oglądane były złote, obsypane brokatem, a do smukłego szklanego ogona miały przyklejone sztuczne złote pióra. Na bogato, choć niedrogie.

Tamte z mojego dzieciństwa miały bardzo podobne kształty (jeden się ostał do dziś, więc nie jest to tylko wytwór zawodnej pamięci, która wszystko idealizuje), ale były srebrzystobiałe, z lekko złożonym dziobem, czarnymi oczami i odrobiną czerwieni lub złota na skrzydłach.

Były skromne, może nawet trochę nieśmiałe i niepewne swojej pozycji ozdoby świątecznej. A były najcenniejsze. Pamiętam, jak pieczołowicie owijaliśmy je w wate przed schowaniem do pudełka już po świętach. Drogie, choć skromne, na wiele lat.

Takie też były nasze święta, jeszcze niedawno. Skromne, tak jak skromna była choinka i prezenty pod nią – rajstopy, skarpety, szaliki i swetry robione na drutach, krem Nivea. Skromne i na wiele lat. Nie było to naszym świadomym wyborem, żyliśmy w kraju socjalistycznym, w gospodarce niedoboru, gdzie popyt wielokrotnie przewyższał podaż. Czas świąt był czasem, w którym w sklepach brakowało wszystkiego. Wtedy najwięcej mieliśmy czasu, czasu prywatnego – rodzina, przyjaciele, najbliżsi znajomi i niekończące się rozmowy dorosłych wśród zielonych kubańskich pomarańczy, bułgarskiej brandy i gier planszowych dzieci. Św. Mikołaj przychodził do domów pod osłoną nocy, podczas snu. Nawet nie wiem,





Lata 90. XX w.



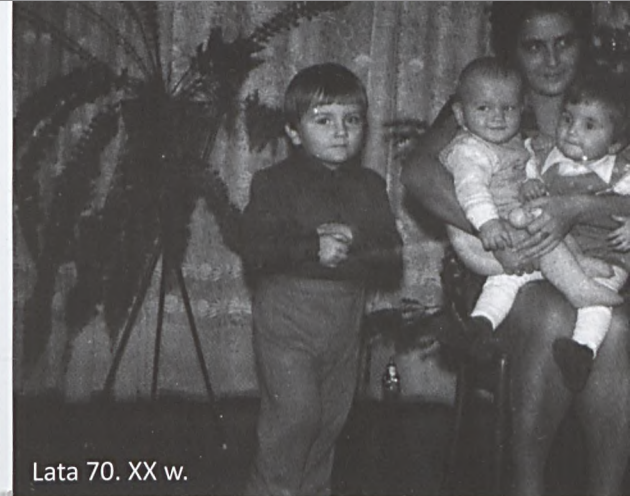
Lata 50. XX w.

jak wyglądał, jak był ubrany, pewnie założył znoszoną jesionkę w jodełkę, bo noce były mroźne. Na zewnątrz był czerwony Dziadek Mróz, który na moskiewską modłę przynosił do domu kultury plastikowe torebki z czekoladopodobnymi słodyczami, takie same dla wszystkich dzieci, których rodzice pracowali w Zakładach Metalowych. Na zewnątrz były koksowniki, 13 grudnia i „Czas Apokalipsy” w kinie Moskwa.

Chcieliśmy inaczej, ale jak? Nie wiem, jak chcieliśmy, ale wiem, jak jest. Postmodernistycznie. Prezenty przynosi Gwiazdka i wkłada je pod choinkę tak wcześnie, że nie można w spokoju zjeść kolacji wigilijnej. Potem wpada Mikołaj, świetnie przebrany. W nocy też ktoś zakrada się pod choinkę, wypija mleko i zjada pierniki zostawione dla św. Mikołaja. Nie wiem kto, Mikołaj już był, sama widziałam, podobał mi się jego nowy czerwony kubraczek. Nie chciał pierników i mleka, mówił, że jest na diecie makrobiotycznej. Ten inny ktoś zostawia pod choinką



XXI w.



Lata 70. XX w.



Lata 70. XX w.



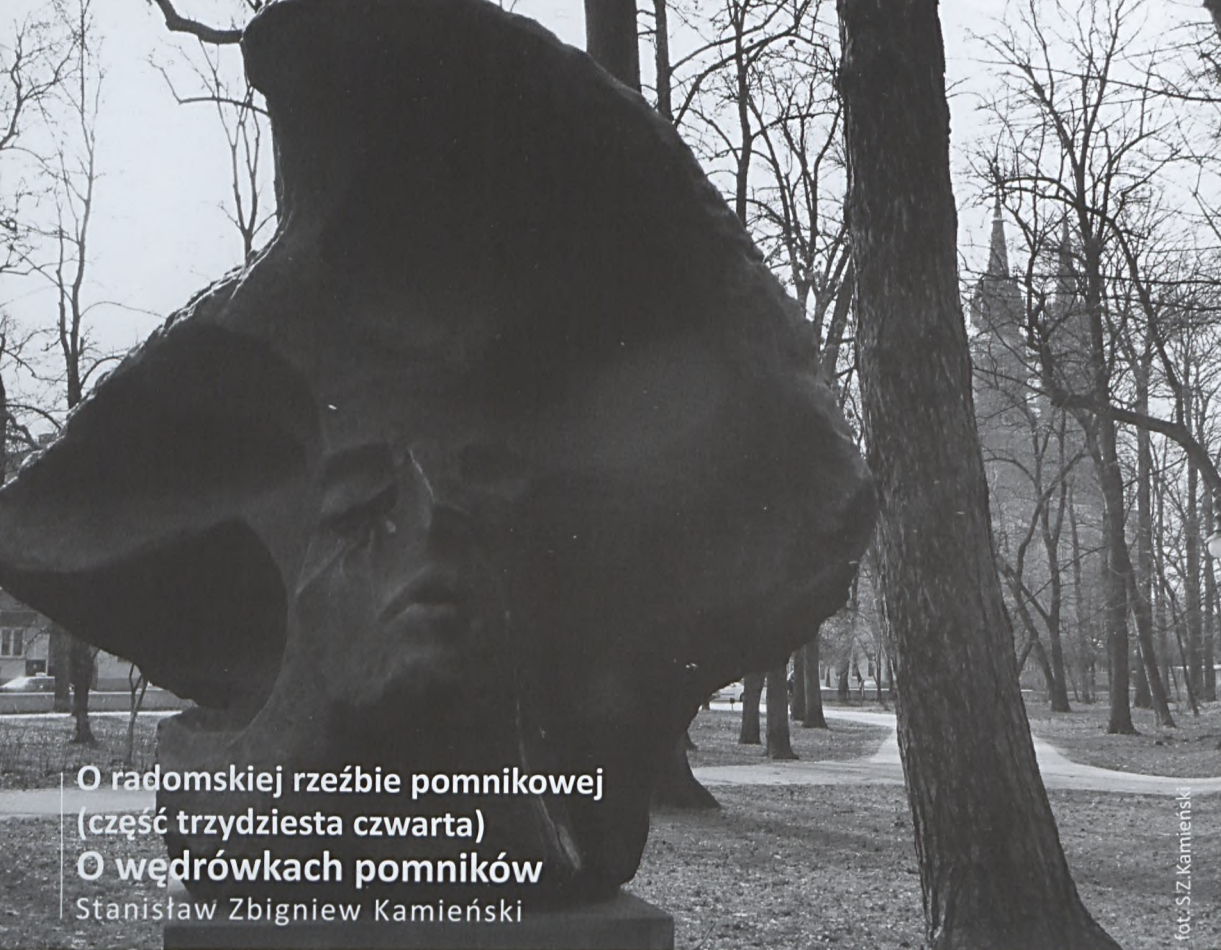
XXI w.

wielkie paczki z szybkowarem, frytkownicą i samochodem na baterie. Rano w skarpecie powieszanej dla dekoracji znajduję pierścionez z „brylantem” i moje ulubione czekoladki „After Eight”. Nie wiadomo już, o jaką ósmą chodzi, czekać czy zjeść od razu? Nie narzekam, wodzę palcem po plamoodpornym obrusie świątecznym, po konturze rysunku św. Mikołaja w saniach, z reniferami, z Czerwononosym Rudolfem. Ten stary obrus z adamaszku – śnieżnobiały od gotowania w mydlinach i sztywny od krochmalu i magła był taki czasochłonny.

**Agata Morgan**

Zdjęcia pochodzą z prywatnych archiwów.





O radomskiej rzeźbie pomnikowej  
(część trzydziesta czwarta)

O wędrówkach pomników

Stanisław Zbigniew Kamieński

fot. S.Z. Kamieński

Pomimo naszych wyobrażeń o trwałości pomników i niezmienności miejsc, które zajęły raz na zawsze, pomniki wędrują. Co prawda nie wszystkie i nie o własnych siłach. Są pomniki, nazwę je szczęśliwymi, którym udaje się pozostać na swoim miejscu od początku istnienia w nieskończoność, jakąś bliżej nieokreśloną wieczność, bo przecież nie wiemy, co może to oznaczać. Ale jest dużo pomników, które nie zaznały spokoju. Brązowe pomniki przetapiane były na armaty albo odwrotnie – ze zdobytych armat odlewano nowe pomniki. W wieku XX świat nie ma już czasu i cierpliwości na tak pracochłonne i skomplikowane operacje; na postumentach stawia się, po zakończeniu działań wojennych, wraki czołgów, dział czy samolotów, nadając im, za sprawą odpowiednio sformułowanych napisów, wymowę martyrologiczną, heroiczną czy patriotyczną.

Podczas II wojny światowej polskie pomniki były metodycznie niszczone przez niemieckich

okupantów albo musiały ukrywać się przed nimi. Wzniesiony w 1930 r. na Rynku w Radomiu pomnik Czynu Legionów, nazywany pomnikiem Legionisty, został wiosną 1940 r. zniszczony przez hitlerowców, a na jego miejscu utworzono basen przeciwpożarowy. Nowy legionista musiał czekać 58 lat, aby powrócić na swoje dawne miejsce, przez większość tego czasu nie wolno było wymieniać publicznie nazwiska komendanta Legionów Józefa Piłsudskiego; pozostawał wrogiem ZSRR, wrogiem ustroju komunistycznego, więc również wrogiem PRL.

Obelisk wdzięczności dla cara Aleksandra II za zniesienie poddaństwa chłopów, którego historię opisywałem niedawno („MP” nr 4/145 z 2014 r.), pierw, w roku 1917, zmienił swoją wymuszoną przez zaborcę wymowę z wiernopoddańczej na patriotyczną, ale potem, w PRL-u został usunięty w 1966 r. z widocznego miejsca na skrzyżowaniu głównych

ulic na plac za kościołem Mariackim i przestał tam ćwierć wieku, aby powrócić na dawne miejsce tuż przed wizytą papieża Jana Pawła II w Radomiu 4 czerwca 1991 r.

Inny obelisk, z sowiecką czerwoną gwiazdą i napisem (w językach rosyjskim i polskim): „Tu spoczywają żołnierze i podoficerowie Armii Czerwonej polegli w walce z niemiecko-faszystowskim okupantem przy oswobodzeniu Radomia 16 I 1945 r. WIECZYSTA SŁAWA BOHATEROM”, odbył w 1990 r. podróż ze swojego pierwotnego miejsca przy ul. Żeromskiego, gdzie dziś rozsiadł się Jan Kochanowski w towarzystwie Urszulki, na cmentarz prawosławny przy ul. Warszawskiej.

Pomnik wdzięczności Armii Czerwonej, stojący od 1953 r. na placu Jagiellońskim, który to plac na czas pobytu pomnika zmienił nazwę na plac Zwycięstwa, wydawało się wówczas, że już na zawsze, także po upadku socjalizmu wyruszył w podróż, jednak okreśną drogą (pisałem o tym bardziej szczegółowo w „MP” nr 4/127 z 2011 r.) i w końcu, w 2004 r., dołączył do obelisku z czerwoną gwiazdą. Zdawać by się mogło, że tym razem oba monumenty znalazły dla siebie miejsce ostatecznego postoju czy spokojnej starości, jednak obecny proboszcz parafii prawosławnej w Radomiu i gospodarz tamtejszego cmentarza ksiądz Tomasz Rubczewski nie jest zadowolony z ich lokalizacji na swoim terenie. Rozmawialiśmy o tym niedawno, stojąc w któryś listopadowy ranek w pobliżu pomników. Zgodę na ich przyjęcie w sąsiedztwie grobów żołnierzy Armii Czerwonej wyraził poprzedni proboszcz, zaś miasto podjęło się opieki i konserwacji obu obiektów. Ksiądz Rubczewski uważa, że opieka miasta jest niewystarczająca, aby się o tym przekonać, wystarczy obejrzeć pomniki z bliska. Robią wrażenie zaniedbanych, jedynie czerwona gwiazda nie traci swojego blasku, na przekór niesprzyjającym okolicznościom świecąc jaskrawym, złowieszczym kolorem. Ksiądz wołałby, aby komunistyczny emblemat nie rzucał się tak bardzo w oczy i nie był pierwszym znakiem, jaki przychodzi na myśl, gdy wspomina się ten cmen-

tarz, nawet jeśli jego część stanowią kwatery z grobami sowieckich żołnierzy. Nie można jednak zapomnieć, że komunistyczny ustrój brutalnie i konsekwentnie tępił wszelkie przejawy religijności, zamieniając m.in. cerkwie na muzea ateizmu czy magazyny, albo po prostu równając je z ziemią. W 2006 i 2007 r. w miejsce masztów do wywieszania flag z okazji państwotwórczych rocznic i propagandowych uroczystości stanęły tam krzyże, pierw pojedynczy, z inicjatywy jednego z parafian, potem jeszcze dwa, symbol Golgoty, którą niewątpliwie był dla żołnierzy Armii Czerwonej zwycięski marsz na zachód. Rozmawialiśmy z księdzem Rubczewskim o Galerii Sztuki Socrealizmu przy Muzeum Zamoyskich w nie tak odległej Kozłówce, ksiądz chętnie wyekspedowałby tam oba pomniki, może więc nie zakończyły jeszcze swojej wędrówki?

Inne, niemające nic wspólnego z ideologią i polityką powody, raczej natury estetycznej czy ze względu na odczucia religijne, przyczyniły się do wędrówek kilku pomników w centrum Radomia, co prawda wędrówek nieodległych.

Taką wędrówkę w tę i z powrotem, właściwie spacer po parku Kościuszki, odbył pomnik Chopina, czy może raczej należy powiedzieć rzeźba „Chopin” stojąca przy głównej alejce parku, która dziś nosi imię biskupa Jana Chrapka. Rzeźba znalazła swoje miejsce na skwerze w połowie alei, mając w tle dawny młodzieżowy dom kultury, który popadł już w ruinę, ale w latach 80. ub. wieku, gdy Chopin tu przybył, budynek nie wyglądał jeszcze tak tragicznie. Od 2009 r. przeprowadzana jest rewitalizacja parku, miasto chciało ogłosić nawet konkurs na projekt nowego wyglądu i funkcji parku, a wśród wytycznych do konkursu pojawił się punkt mówiący o znalezieniu nowego miejsca dla rzeźby „Chopin”. Konkurs nie doszedł do skutku, ale rzeźbę przeniesiono w inne, „godniejsze” miejsce. Nie wiem, co kryje się pod tym enigmatycznym określeniem, być może chodziło o więcej zieleni wokół, stworzenie odpowiedniej atmosfery czy



klimatu do odbioru rzeźby? Okazało się jednak, że nawet jeśli nowe miejsce stwarza rzeźbie lepsze warunki dla zasłuchania się – wyraz twórczego zasłuchania maluje się na twarzy rzeźbiarskiej formy – to znajduje się ono za blisko szaleatów miejskich. Radomianie protestowali, uważali, że to kompromitacja miasta i despekt wobec Chopina. Po niedługim czasie rzeźba wróciła na swoje pierwotne miejsce ze zrujnowanym budynkiem w tle. Ruina zwyciężyła z szaletem. Żeby odwrócić uwagę od zdewastowanego obiektu, na klombie przed rzeźbą tworzy się co roku na wiosnę efektowne kompozycje kwiatowe. Trzeba jeszcze dodać, kończąc wątek związany z parkowym Chopinem, że w odpowiedzialnych za wygląd Radomia strukturach urzędu miejskiego toczyły się kilka lat temu rozmowy na temat zaprojektowania przy ul. Moniuszki pasażu z rzeźbami kompozytorów polskich – Kolberga, Moniuszki i właśnie Chopina, ale pomysł ten nie wyszedł poza dyskusje urzędników – urbanistów i architektów.

Wędrówki, niemal symboliczne, bo w obszarze tego samego placu, a jednak znaczące dla przesłania obiektów, odbyły w ostatnim czasie dwa pomniki mające swoje miejsca przed radomską katedrą: pomnik kardynała Stefana Wyszyńskiego, postawiony tu w 2002 r., i pomnik papieża Jana Pawła II, stojący po sąsiedztwie od 2008. Przeprowadzka nastąpiła na zakończenie kilkuletniego poważnego remontu i „upiększania” neogotyckiego kościoła katedralnego. Pomniki stały z boków placu, zwrócone ku kościołowi, na niewysokich, różnych w kształcie postumentach, jak gdyby postaci kardynała i papieża zmierzały razem z wiernymi do świątyni. Poprzedni proboszcz katedry ksiądz Edward Poniewierski, który prowadził prace remontowe, postanowił nadać pomnikowym postaciom nowe przesłanie, umieszczając je na szczycie schodów, symetrycznie po obu stronach głównego wejścia, nad którym, w miejsce dawnej mozaiki, umieścił nowy tympanon z płaskorzeźbą Matki Boskiej wyciągającej do wiernych ręce w geście

powitania. Brązowe figury papieża – obecnie świętego, i kardynała – oczekującego na oficjalne uznanie przez Kościół jego świętości, mają wzmocnić wrażenie oczekiwania i witania przybywających do świątyni. Przeniesienie figur na nowe miejsce i na nowe, jednakowe, pozbawione jeszcze jakichkolwiek napisów postumenty, odbyło się 6 sierpnia ubiegłego roku. Muszę przyznać, że bardziej przekonująca mnie wymowa pomników wynikająca z ich pierwotnej lokalizacji, kiedy w symbolicznej pielgrzymce hierarchowie prowadzili lud boży do Kościoła (i tego pisanego dużą literą i realnego budynku), ale obecne usytuowanie monumentów jest na pewno bardziej efektowne, robi większe wrażenie i bardziej może się podobać.

Opisałem pokrótce przypadki wędrówek radomskich pomników, różne motywy kierowały decyzjami o ich przeprowadzkach. Okazuje się, że pomniki muszą brać pod uwagę to, iż w zależności, jakiemu panu służą, mogą albo wieść spokojne życie, albo być wystawiane na mniej lub bardziej przewidywalne zmiany, czasem gwałtowne wstrząsy. Radom nie został na szczęście wyróżniony lokalizacją pomnika żadnego z krwiożerczych ideologów tej części świata – Lenina, Stalina czy choćby Dzierżyńskiego, które po upadku komunizmu szybko opuszczały miejsca chwalebne do czasu pobytu, zrzucane z piedestałów na przyszłowiowy bruk.

Ciekaw jestem, jak wiele takich monumentów runęło w dawnym ZSRR po transformacji ustrojowej, i ile z nich powróciło na swoje miejsce w Rosji po dojściu do władzy Putina, zapewne nie tak trudno to sprawdzić. Czytałem niedawno, że na Ukrainie po rewolucji Majdanu w Kijowie i innych tamtejszych miastach usunięto 390 pomników Lenina; czy tylko czasowo? Pomniki wdzięczności Armii Czerwonej nie wzbudzają aż tak silnych emocji, aby spadały bezpośrednio z cokołów na ziemię i były na miejscu rozbijane. Mamy świadomość, że sławie zwycięskiej armii towarzyszy martyrologia niewyobrażalnej liczby żoł-

nierskich istnień, w jakimś sensie ofiar tamtego nieludzkiego systemu.

Dodam na koniec, niejako na pocieszenie, choć nie jestem pewien, czy ta informacja może podnosić na duchu, że praktyki usuwania z cokołów figur ustawionych tam wcześniej, czy zmiany jednych postaci na inne są stare jak świat. Zbigniew Herbert w eseju „Akropol” tak pisze o czasach rzymskich: „Nie tylko piedestały zmieniały właścicieli; często na istniejący tors nakładano po prostu nową głowę cesarską i dawano nowy napis, tak, że ten sam pomnik wyobrażał kolejno Tyberiusza, Nerona, Wespazjana czy Tytusa. [...] pomniki cesarzy nie były dowodem

## Z notatnika malarza ikon Drabina (część XIII)

Michał Płoski

**D**ziś, gdy depresja psychiczna staje się problemem wielu ludzi, wzrasta zainteresowanie pojęciem, które znane było w pierwszych wiekach chrześcijaństwa – acedią<sup>1</sup>. Łacińskie słowo *acedia* lub greckie *akedia* oznaczało znużenie, oschłość, przygnębienie, brak zainteresowania czymkolwiek. W literaturze ascetycznej jako pierwszy opisał ten stan Ewagriusz z Pontu (345–399). Jest to sytuacja, w której człowiek nie akceptuje siebie i rzeczywistości go otaczającej. Jest jakby spętany, zniewolony przez złego ducha. Diabły atakują mnichów za pomocą strzał, włóczyń, a także pętli. To ostatnie narzędzie wydaje się najbardziej groźne, choć nie rani. Uniemożliwia wspinanie się po drabinie ku niebu i powoduje ostateczny upadek. Acedię nazywano demonem południa, zapożyczając to określenie z psalmu. Ewa-

entuzjazmu, ale oportunistu”<sup>1</sup>. Jednak mało to optymistyczne zakończenie. Dziś, przynajmniej w przypadku pomników, staramy się zachować więcej pozorów przyzwoitości. Czyżbyśmy stali się sprytniejsi?

**Stanisław Zbigniew Kamiński**  
6–15 listopada 2014 r.

<sup>1</sup> Zbigniew Herber, *Labirynt nad morzem*, Fundacja Zeszytów Literackich, Warszawa 2000; s. 111/112.

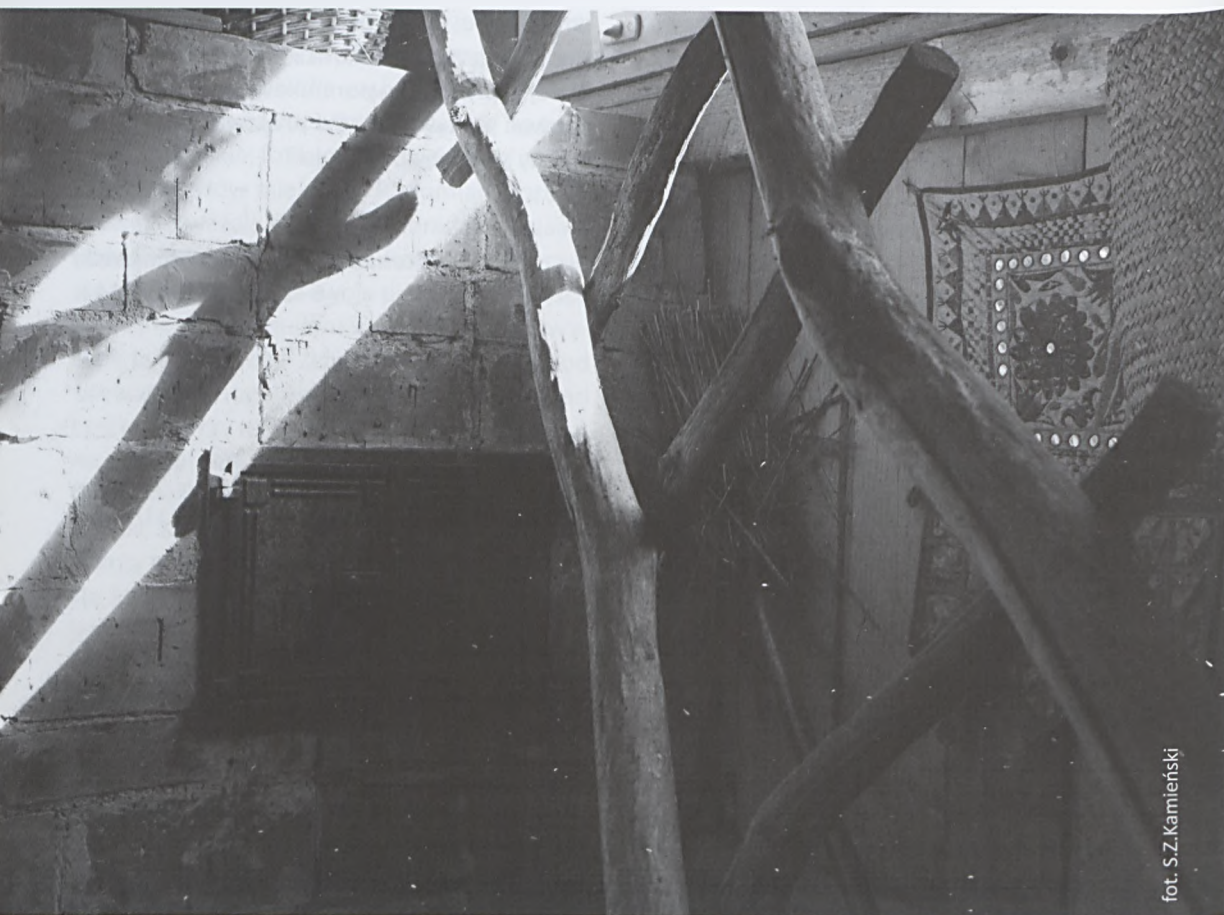
griusz opisuje działania tegoż demona w oparciu o doświadczenie mnichów, którym właśnie w południe najbardziej dokuczał skwar słońca, zmęczenie, głód i samotność. Nasilenie podobnych stanów ducha można zaobserwować również w południu życia, czyli w jego połowie. Acedię zaliczano do ośmiu złych skłonności, tak zwanych logismoi – namiętnych myśli. Są to: obżarstwo, nieczystość, chciwość, smutek, gniew, acedia, próżność i pycha. W 590 r. Grzegorz Wielki przeredagował tę listę wad, nazywając je siedmioma grzechami głównymi. Smutek zastąpiony został przez zazdrość, próżność połączono z pychą, a acedię zamieniono tu na lenistwo, ograniczając problem do aspektu moralnego<sup>2</sup>.

Rozdział XIII *Drabiny raj* św. Jana Klimaka traktuje o acedii. Jest ona: „niemocą duszy,

<sup>1</sup> Istnieje obszerna literatura dotycząca tego tematu, zainteresowanym polecam: G. Bunge OSB, *Acedia – duchowa depresja*, Kraków 2007; W. Zatorski OSB, *Ascedia dziś*, Tyniec 2011.

<sup>2</sup> Zagadnienie oceny moralnej acedii w oparciu o Arystotelesa, ojców kościoła i Pismo Święte rozważa św. Tomasz z Akwinu – *Summa Teologiczna* II–II, 35,1–4; II–II, 20,4; II–II, 34,1–6; I–II, 41,1–3.





fot. S.Z. Kamiński

ociężałością umysłu, wątpliwością ascezy, nienawiścią do dotrzymania mnisiego przyrzeczenia, cenieniem tego, co światowe, oszczercą Boga jakoby nielitościwego i wyzutego z miłości do ludzi, leniwym w śpiewaniu psalmów, bezsilnym w modlitwie, nie nagiętym do posługi, uchylającym się od pracy rąk, niezdatnym do posłuszeństwa<sup>3</sup>. Według Klimaka acedia „jest wieczną towarzyszką hezychasty”, czyli mnicha żyjącego samotnie. Píše on: „widząc celę anachorety uśmiecha się, i przybliżywszy się, przy nim się chroni”. Charakterystyczna jest tu personifikacja acedii, bytu zewnętrznego, który próbuje zapanować nad człowiekiem. Samotność pustelnika stwarza pole obserwa-

cji i analizy stanu duchowego. Św. Jan Klimak wiele lat spędził w samotności, był także ojcem duchowym hezychastów. Uważa, że acedia „jest jednym z najgroźniejszych spośród wszystkich ośmiu władców zła”. Zwięźle i dokładnie opisuje jej ataki w kolejnych porach dnia. Na koniec pozwala niejako wypowiedzieć się samej acedii: „zapraszających mnie jest wielu: niekiedy jest to niewrażliwość duszy, niekiedy zapomnienie o tym, co jest u góry; a bywa że i nadmiar upału. [...] Moi nieprzyjaciele, którzy dopiero co mnie spętali, to psalmodia wraz z pracą ręczną; nienawidzi mnie myśl o śmierci, a tym, co mnie uśmierca jest modlitwa wspólna z mocną nadzieją na dobra”.

Czy acedia jest tylko problemem mnichów, sprawą marginalną, przebrzmiałą, niedotyczącą współczesnego człowieka?

Ewagriusz zauważał: „Przeciwko świeckim demony walczą raczej za pomocą rzeczy, przeciwko zaś mnichom za pomocą myśli”.

Mnisi poddawali swe myśli analizie. Zmierzając ku spotkaniu z Bogiem, budowali integralność własnej osoby, potrafili rozpoznać zło. Świeccy, których acedia atakuje „za pomocą rzeczy” (dodajmy – także przez kontakt z innymi ludźmi), często po prostu jej nie rozpoznają; doświadczają jedynie jej objawów. Ojciec Włodzimierz Zaborski píše o benedyktynie, który odwiedza swojego dawnego szkolnego kolegę. Szuka z nim kontaktu, w czym przeszkadza włączony cały czas telewizor. Mimo prośby gościa, nie może być wyłączony, bo „zaraz może być coś ciekawego”. Acedia dotyka bardzo wiele współczesnych osób, które nawet sobie tego nie uświadamiają. Nie lubią swojej pracy, kontakty z ludźmi często mają charakter powierzchowny. Próbuje wypełnić pustkę za pomocą telewizji, internetu, alkoholu... Nie odczuwają radości życia, które uważają za bezbarwne. Szczęście jest gdzie indziej, zawsze tam, gdzie ich nie ma.

Jak walczyć z acedią? Zalecenia doświadczonych mnichów spróbuję ująć zwięźle, w punktach:

1. odrzucanie złych myśli, owych ośmiu „logismoj”;
2. czystość serca, wyrażona przede wszystkim czynną miłością do bliźnich;
3. modlitwa, przewyciężanie narzucającego się horyzontalnego wymiaru życia;
4. pielęgnowanie radości, pokoju, łagodności;
5. świadomość kresu naszej ziemskiej wędrówki i wizja zmartwychwstania;
6. praca, tu korelacja z punktem drugim, a więc praca z myślą o innych.

Szczególnym rodzajem pracy jest pisanie ikon. Zasady, których powinien przestrzegać malarz, mogą być znakomitym lekarstwem na acedię. Wynotowuję niektóre z nich w nadziei, że być może dają się one zaadaptować również do innych zajęć.

„Przed rozpoczęciem pracy przeżegnaj się; módl się w milczeniu i daruj swoim winowajcom.

Pracuj w skupieniu [...], jakbyś pracował przed samym Bogiem.

W czasie pracy módl się, by wzmocnić się fizycznie i psychicznie: unikaj przede wszystkim zbędnych słów i zachowaj ciszę.

Gdy twa ikona jest już skończona, podziękuj Bogu, że w miłosierdziu Swym obdarował cię łaską malowania świętych wizerunków.

Nie zapominaj o radości obdarowania świata ikonami, radości pracy przy malowaniu ikon, radości zjednoczenia ze świętym, którego oblicze malujesz<sup>4</sup>.

Jednym z środków przeciwstawienia się acedii jest modlitwa psalmami. Na koniec więc kilka wersów psalmu 91 w przekładzie Czesława Miłosza:

1. Kto się w opiekę oddał Najwyższemu\* w cieniu Wszechmogącego mieszka,
2. Powie do Pana: „Ostojo i twierdzo moja,\* Boże mój, Tobie ufam!”.
3. Bo On uratuje ciebie z sidła ptasznika\* od niszczącej zarazy.
4. Piórami swoimi ciebie okryje\* pod Jego skrzydłami będziesz.\*
- Tarczą i puklerzem jest Jego wierność.
5. Nie ulęknieś się strachu naszego\* ani strzały w dzień latającej.
6. Ani zarazy, która chodzi w ciemności\* ani nieszczęścia, które nawiedza w południe.

W starożytnych przekładach, z których korzystali pierwsi mnisi, słowa „ani nieszczęścia, które nawiedza w południe” brzmiały: „ni demona południowego”, a więc acedii.

**Michał Płoski**

<sup>3</sup> św. Jan Klimak, *Drabina raju*, tłum. W. Polanowski, Kęty 2011, Wyd. M. Derewiecki, s. 190; z tego samego źródła pochodzą kolejne cytaty.

<sup>4</sup> Cytuję za: J. Forest, *Modlitwa z ikonami*, tłum. E. Nowakowska. Bydgoszcz 1999, s. 53.





## Inaczej

Dorota Majkowska-Szajer

fot. Maciej Kamiński

Święta, święta i po świętach – zwykliśmy sobie mówić, kiedy po kilku dniach eks-trawagancji wracamy w koleiny powszedniości. Kryje się w tym powiedzeniu odrobina rozczarowania: przecież święta, wyczekiwanie, z takim trudem przygotowywane, starannie zaplanowane, zawsze zbyt szybko mijają, nagle się kończą i wydają nas na pastwę monotonii dnia codziennego.

Nie powinniśmy marudzić, bo przecież wszystko, jak co roku, było do przewidzenia. W końcu jeśli za coś lubimy święta (choć równie dobrze możemy ich za to nie znosić), to właśnie za ich powtarzalność. Za to, że wprowadzają w nasze życie niezmienny i przewidywalny rytm: jest na co czekać i co planować, a skoro już miną, zawsze możemy powiedzieć, że za rok będą znowu. I jeżeli w tym roku coś poszło nie tak, w przyszłym łatwiej będzie uniknąć potknięcia. A jednak kiedy się zbliżają, zawsze chcemy, żeby było jakoś inaczej. Może choć raz będzie tak pięknie jak w telewizji?

Tymczasem gdyby się przyjrzeć naturze świąt, czy też dawnym świadectwom świętowania, bliżej im do nieokiełzanego żywiołu niż ugładzonego obrazka rodem z reklamy popularnego napoju gazowanego. Badacze, którzy próbowali dotrzeć do istoty święta (sięgając także po treści spoza obszaru naszej kultury i spoza naszej pamięci), przedstawiali je jako „coś, co przypomina świat ze snu” (Jean Duvin-gnaud), „epidemiczne wrzenie przyprawiające o zawrót głowy”, „potężne tchnienie zbiorowego szału”, okres „gdy rządzi oszołomienie, rozgorączkowanie i płynność, gdy wszystko co jest porządkiem podlega czasowemu obaleniu, by potem powstać znów w postaci odnowionej” (Roger Callois). Święto to rewolucja, podczas której zwykłe reguły przestają obowiązywać i tworzy się nowy porządek. To czas na rzeczy niewyobrażalne. Czas, kiedy pozwalamy sobie myśleć o takich ekscesach jak powstawanie z martwych, dziewicze poczęcie czy narodzenie króla świata w zgrzebnej stajence. To,

co w codzienności nie może się pomieścić, eksploduje w świętowaniu.

„Gdzież jest powiedziane, że święto znami-nować musi łagodność, ospałość, sytość i bez-troska? – pyta w *Nowym Mateczniku* Marian Pi-lot. – Żadne prawie chłopskie święta nie bywa-ły takie, nawet te najbardziej uroczyste świę-ta kościelne: po Bożym Narodzeniu przycho-dzi przecież dzień świętego Szczepana, w któ-rym już wszystko zdarzyć się może, po pierw-szym dniu Wielkiej Nocy – drugi, wcale już nie sielski... Święto równoznaczne było z poru-szeniem, wstrząsem, odmianą, zespołowym granicznym przeżyciem, gwałtownym wybi-ciem wspólnoty z monotonnego rytmu co-dzienności”.

W rozmaitych świątecznych obrzędach (któ-re u nas raczej się już przedstawia, niż prze-żywa) zachowały się ślady przekonania, że w świąteczny czas znajdujemy się w zasięgu działania niezwykłych mocy. To właśnie wte-dy można zapewnić sobie pomyślność, stosu-jąc się do reguł uznawanych za pochodzące z początków świata, ale też łatwo zasłużyć na zły los. Stąd w świątecznych zwyczajach ży-czenia – akurat wtedy przypisuje się słowom siłę sprawczą. Także ludzkie działania nabierają wagi, bo chodzi o coś, co wykracza poza swo-bodny, indywidualny wybór.

Rzecz w tym, że w święcie nie jesteśmy sami. To moment wspólnoty i wspólna ma być tutaj nie tylko radość, ale też odpowiedzialność za przebieg zdarzeń. Dlatego wszystko ma swoje miejsce: wzmożona pobożność i radosne zapo-mnienie, cisza i hałas, post i przesyt. Wszyst-ko to w odpowiednich proporcjach służyć ma zachowaniu równowagi świata, który w czasie święta został wypchnięty ze swoich zwycza-jnych torów i przypomina linoskoczek – jeden fałszywy ruch i runie w przepaść. Nic dziwnego, że w grę wchodzi wielkie emocje: pomie-szanie grozy i nadziei.

Niecodzienne gesty i stroje, niemająca końca wymiana darów, wyjątkowe potrawy (i wyjąt-kowe obżarstwo), powstrzymanie się od pra-cy – to zachowania, które łączą sposoby świę-

towania z odległych zakątków świata i różnych epok. W naszej rzeczywistości ich najwyraż-niejszym powidokiem są chyba grupy kolędni-cze (dzisiaj częściej widywane w domach kul-tury niż w domach sąsiadów): bajeczne kolory, wywrócone na lewą stronę kozuchy, dziwacz-ne maskary, śmierć przechadzająca się w to-warzystwie diabła, nieprzyzwoite żarty... Tyl-ko czy kojarzą nam się jeszcze ze świąteczną atmosferą? I co to właściwie znaczy?

O ile życie jakoś się toczy dzień po dniu, to w święta wszystko zaczyna nabierać znaczenia: z kim, gdzie i jak spędzimy ten czas, nawet w co się ubierzemy. W tej wyjątkowej chwili (niech to będzie Boże Narodzenie, Wielkanoc, Wszyst-kich Świętych, ale też chrzciny, pogrzeb czy we-sele) szczególnie nam zależy, żeby wszystko od-było się wyjątkowo, czyli jak należy. To święta prowokują pytania o więzy rodzinne, łączność z przodkami, z tradycją, z lokalnym sposobem życia – w końcu na święta każdy w jakiś spo-sób chce być u siebie, w domu. I mieć święty spokój. W pogoni za idealnymi świętami, któ-re mają być wyjątkowe, niezapomniane, jedy-ne w swoim rodzaju, zapominamy o odległych i niepokojących echem przeżywania święta jako niebezpieczeństwa. Chyba już nie chcemy myśleć o świętowaniu jako o tej ekstremalnej chwili, gdy tak wiele od nas zależy. Chwili, gdy możemy zbliżyć się do tajemnicy – niepoznanej, ale dającej poczucie bycia w pobliżu wiel-kiej mocy. Mocy, która odmienia życie. A przy-najmniej może je odmienić.

**Dorota Majkowska-Szajer**



## Nomen Women

Lidia Ziemińska

fot. S.Z. Kamiński

**N**omen Women” to wystawa 12 artystek i 12 artystów, którą mogliśmy oglądać w galerii „Łaźnia” przy ul. Traugutta w Radomiu. Artyści biorący udział w wystawie to: Sylwester Ambroziak, Barbara Bańda, Małgorzata Bielecka, Tadeusz Boruta, Dorota Buczkowska, Andrzej Brzegowy, Aleksandra Gieraga, Izabella Gustowska, Stanisław Zbigniew Kamiński, Ria Kmeťová, Ewa Kuryluk, Zbigniew Makowski, Tomasz Matuszak, Aldona Mickiewicz, Katarzyna Pietrzak, Michał Płoski, Anna Poduszyńska, Łukasz Rudecki, Demelza Sherwood, Leszek Sobocki, Paweł Susid, Jacek Waltoś, Dariusz Vasina, Joanna Zak.

Kuratorami byli: Agata Morgan, Andrzej Brzegowy i Stanisław Zbigniew Kamiński. Wystawie towarzyszył katalog, w którym można przeczytać na wstępie: „»Nomen omen« zazwyczaj tłumaczy się na polski jako »imię jest wróżbą, stanowi znak«. Mówiąc bardziej opisowo, ten łaciński zwrot oznacza, że imię czy nazwisko zawiera informację o osobie, która je nosi, objawia cechy jej charakteru lub los

jej pisany. Dotyczy to również nazw ogólnych, np. kobieta czy mężczyzna.

Co znaczy parafraza tego zwrotu – »nomen woman«? Czy urodzenie się dziewczynką przesądza o dalszym losie? W jaki sposób? Z męskiej perspektywy zwrot ten odnosi się niewątpliwie do relacji zachodzącej między wyobrażeniem kobiety jako takiej a konkretną osobą – matką, żoną, córką, siostrą, kochanką, nauczycielką, przyjaciółką, sąsiadką, znajomą. Przy czym kobiecość w oczach mężczyzny ma (na ogół) ciało.

Zaś z perspektywy kobiecej zwrot ten może oznaczać chęć ujawnienia myśli o sobie samej, widzenia kobiet w relacji z powszechnymi, ukształtowanymi przez wieki skojarzeniami na temat kobiet i oczekiwaniami świata wobec kobiety, dodajmy, że świata patriarchalnego. Często myśli te nie przylegają ściśle do ciała i pozostają w oderwaniu od rzeczywistości namiętnego świata”.

Prace artystów zostały wykonane w różnych technikach: obok malarstwa mogliśmy oglądać

haft, rzeźbę, książkę, rysunek, grafikę cyfrową, fotografię, wideo.

Mit wielkiej czarnoskórej pra-Matki przywołuje ekspresyjna rzeźba Sylwestra Ambroziaka „Big Mama”. Kobiecość kojarzy się artyście z możliwością dawania Życia.

Do duchowego obrazu kobiety – mistycznego naczynia do wypełnienia, według tezy prawosławnego teologa Pawła Jewdokimowa, nawiązuje wprost praca Michała Płoskiego – artysta przedstawia garnek-naczynie z wizerunkiem kobiety wykonanym w stylistyce ikony.

Andrzej Brzegowy podnosi czynności kuchenne do roli sacrum i uświęca je w swojej pracy pt. „Niedziela”. Praca owa to owal opłatka, chleba na którym ułożone są ręce starszej kobiety (matki). Ta dużych rozmiarów „hostia” wykonana z papieru czerpanego ułożona jest na drewnianej stolnicy.

Z kolei cielesność i procesy fizjologiczne to temat pracy Barbary Bańdy. Tytuł „Wylew z brzucha” w moim odczuciu stanowi pełen humoru komentarz do tej wystawy. Praca nie jest jednoznaczna. Jej ekolinową „plamę” można tak bardzo różnie interpretować jak plamy z testów Rorschacha: oprócz plamy menstruacyjnej może też kojarzyć się z wybuchem złości, ze wszystkimi bólami, jakie w sobie nosimy, aby pewnego dnia eksplodowały wreszcie.

Obrazy Pawła Susida niosą ze sobą ładunek męskiego poczucia humoru. Tytuł jednej pracy – „Kiedy ją sprowokować kobieta urodzi dziecko” ma wydźwięk prawie magiczny i brzmi jak zaklęcie. Tytuł drugiej – „Drogi moich drogich kobiet między kuchnią, sypialnią i łazienką”. Na ten sam pomysł wpadła również Joanna Zak. W swoim obrazie pokazuje własną aktywność w różnych miejscach domu, poprzez drogi „wydreptane” tam w ciągu jednej doby.

Praca olejna Aldony Mickiewicz „Wybebeszona” to tragiczna opowieść kobiety przeniesiona symbolicznie na „piernaty”. Puste łóżko symbolizuje opuszczenie?

Obraz Tadeusza Boruty „Trzy okresy z życia kobiety” to na jednym płótnie trzy pełne bólesci akty kobiety przed i po mastektomii. Oglą-

damy tę samą kobietę z dwoma piersiami, z jedną, i bez – ze szramami po operacji. To bolesny i tragiczny wizerunek ciała kobiety, zmieniający się pod wpływem raka i walki z chorobą.

Dyptyk Dariusza Vasiny – „Holofernes” i „Judyta” to grafiki, które nawiązują do starotestamentowej opowieści o Judycie i jej heroicznym czynie w obronie miasta Betulii. Prace Vasiny przedstawiają uciętą głowę Holofernesa i zaciętą twarz Judyty, której kolczyki są w kształcie kropel krwi. Ten temat był często obrazowany w sztuce europejskiej, podejmowali go m.in. Botticelli, Mantegna, Giorgione, Caravaggio, Veronese, Tintoretto, Rubens czy Klimt.

Do biblijnej opowieści o Zuzannie i starcach odnoszą się prace Leszka Sobockiego pt. „Zuzia i starzec”. Ten cykl stanowi wyraz tęsknoty autora za młodością. Pełna erotyzmu opowieść o pożądaniu młodości, i o starości. W ikonografii europejskiej ów temat malarski był często poruszany przez wielu malarzy, że wspomnę tylko Tintoretta, Rubensa, Rembrandta.

Tematykę przemijania porusza też Łukasz Rudecki. W swoich obrazach zestawia wizerunki dwóch młodych kobiet z obliczami starsuszek. Jedna z prac nosi tytuł „Wymazywana”. Możemy domyślać się, że są to wizerunki tych samych kobiet – z czasów młodości i późnej starości. Kobiety wspominają czas przeszły, swoją młodość. Wraz z upływem czasu wizerunek rozpląta się w niepamięci, w niebycie. Twarz „wymazuje się” z pamięci... własnej i bliskich ludzi.

**Lidia Ziemińska**

Na zdjęciu na stronie 14 instalacja wideo Izabelli Gustowskiej.





fot. S.Z. Kamiński

Zapiski muzealnika

## Krążąc myślami po terenach sztuki

Mieczysław Szewczuk

**„Nomen Woman” – 12 mężczyzn i 12 kobiet mówi o kobietach.**

**Przypominam też wystawę „Sztuka kobiet” w 2000 r.**

### 1. Nomen Woman

Taki tytuł ma wystawa, którą oglądaliśmy w październiku (od 3 do 27) w miejskiej galerii „Łaźnia” przy ulicy Traugutta w Radomiu. Będzie ją można obejrzeć też w galeriach miejskich w Kielcach – w grudniu, a w styczniu i lutym 2015 r. Częstochowie. Prace 24 artystów, 12 kobiet i 12 mężczyzn. O kobietach. A właściwie, jak napisała we wstępie do katalogu Agata Morgan, pierwsza z trojga kuratorów: „na temat rozumienia i odczuwania kobiecości”. Artystki i artyści, głównie z Polski, ale też z zagranicy (Słowacja), a nawet z antypodów (Australia), mówią o kobiecości. Różne perspektywy widzenia, zależne od płci, wizji świata, świadomości, czym jest sztuka. Różne pokolenia (urodzeni między rokiem 1930 a 1981).

Mężczyźni, by ukazać tę relację, przywołują często dzieła przeszłości, opowieści biblijne, mity... Prace na papierze Zbigniewa Makowskiego porównałem kiedyś do dziennika – w którym sprawy osobiste (kobiety!) zwykle sygnalizuje na marginesie notatek z poznawanych dzieł dawnych artystów, pisarzy, filozofów. Bywa, że mężczyźni mówią o osobistej sytuacji, ukazując metaforyczne obrazy zaczerpnięte z dzieł i pism przeszłości. Leszek Sobocki, by opowiedzieć o sobie, pokazać niezgodę na swój wiek, przypomniał scenę z Biblii, malowaną przez stulecia – Zuzannę i starców; w cyklu czterech obrazów z autoportretem, pt. „Zuzia i starzec” (2013) r. Kolejny z krakowskich artystów Dariusz Vasina przypomniał Judytę i Holofernesa, przetwarzając w grafikach ich portrety z obrazu Caravaggia (2012). Inni – zgodnie z naszą współczesną wiedzą – ukazują, jak los, nasze życie, determinuje biologia. Sylwester Ambroziak w rzeźbie z czarnego kauczuku „Big Mama” (2014), przedstawiając matkę z dużym już dzieckiem wciąż połączonych wiel-

ką pępowiną, a Tadeusz Boruta, malując trzy razy ciało kobiety: przed, po usunięciu jednej piersi, a potem drugiej – co nadaje narracji obrazu dramatyzm. Dzieła tych dwóch artystów są chyba najbliższej odpowiedzi na postawiony przez tytuł wystawy problem; jeśli odczytamy jego sens tak: Jaki los determinuje kobiecość?

Obiekt Andrzeja Brzegowego: stolnica z położonym na niej okrągłym papierem czerpanym – sugeruje rozwałkowane ciasto – z odcisniętymi pomarszczonymi dłońmi starej kobiety, pt. „Niedziela” (2009) – jest metaforą świętecznej i zarazem codziennej opiekuńczości kobiet. „Wyprowadzka” Jacka Waltosia to tajemnicze, jasne, niknące przedstawienie dwóch kobiet stojących na tle parterowego domu, pomiędzy nimi w przestrzeni ciemna dziura, jakby otwierała się otchłań, chaos, w który wchodzi człowiek – te kobiety to matka autora i ciotka, przed domem, który po śmierci mieszkańców trzeba zlikwidować. A obraz to symboliczne przedstawienie ich losu, odchodzenia, śmierci – widzianych z perspektywy autora. Na obrazie Aldony Mickiewicz pt. „Wybebeszona” przedmiotem symbolicznym jest dziurawa kołdra – tak świetnie namalowana, że obraz staje się dramatyczny. Jak zawsze na obrazach tej malarki – wybrany, pozornie zwyczajny przedmiot niepokoi w taki sposób, że staje się symbolem przemijania i spraw ostatecznych.

Czasami kobiety, by mówić o kobiecości, ukazać swoją obecność w świecie, tworzą narracje, korzystając z nowych technik. Izabella Gustowska przygląda się kobiecie patrzącej w dal na obrazie „Poranne słońce” Edwarda Hoppera – identyfikuje się z nią, zapatrzoną, samotną. To zapatrzenie przedstawiła na trzech monitorach, które zapisały ten układ odbić i identyfikacji, w filmach, także w przestrzeni, czasie, świadomości. Ewa Kuryluk i Ria Kmeťová mówią o sobie, tworząc narracje w zestawach fotografii z autoportretami; pierwsza, Ewa Kuryluk, po prostu pokazuje siebie na zdjęciach ze Stuttgartu w 1978 r., druga napisała: „Autoportrety to dla mnie nieustanna aktualizacja własnego poglądu na samą siebie” – i nakłada

je na siebie, buduje napięcie, więcej skrywając, niż ujawniając. W offsetowej grafice Katarzyny Pietrzak, zatytułowanej „Relacje” (tu kobiety wobec kobiety, 2012), zarysy dwóch zwróconych do siebie fragmentów kobiecych torsów stają się tajemniczą formą (niemal abstrakcyjną, gdyby nie wrażenie, skojarzenie z anatomią, ciałem). Jednak najbardziej odmienne niż sztuka mężczyzn, kobiece – wydają mi się obrazy Basi Bańdy (pozwornie tradycyjne, bo malowane na płótnie); są prowokacyjną grą z poczuciem ukształtowanej przez mężczyzn estetyki, do której przywykliśmy w sztuce, a zarazem świadectwem opanowania formą rozlewającej się farby i przyswojenia jej nam jako dzieła sztuki („Wylew z brzucha”, 2012).

Dwaj pozostali kuratorzy to Andrzej Brzegowy i Stanisław Zbigniew Kamiński – profesorowie Wydziału Sztuki radomskiego uniwersytetu; współpracowali już przy organizacji innej wystawy w tej galerii („Obraz i tekst”), ale tym razem powstał chyba zestaw jeszcze ciekawszy. Prace świetne i zmuszające do zastanowienia nad wskazanym problemem. Autorami dzieł są wybitni artyści, zarówno ci, którzy związani są z Radomiem przez lata działalności Muzeum Sztuki Współczesnej, jak i nowi, młodzi. O randze wystawy decyduje zarówno poziom prac, jak i różnorodność; a miarą sukcesu kuratorów jest także to, że pokazano dzieła z ostatnich lat, niektóre tu wystawiane po raz pierwszy. Wystawa będzie pokazana jeszcze w dwóch miastach – i to będzie promocja Radomia.

### 2. Sztuka kobiet

Oceniając wysoko tegoroczną wystawę, chcę przypomnieć zapewne zapomniane już wydarzenie. W dniach 1–7 października 2000 r. odbywało się w Radomiu Międzynarodowe Forum Twórczości Kobiet. Głównym organizatorem był Teatr Powszechny (dyrektorem był Linas Zaikauskas), a jedną z inicjatorek Ewa Nakonieczna, zmarła w tym roku dziennikarka i poetka. W Muzeum Sztuki Współczesnej pokazaliśmy wówczas wystawę „Sztuka kobiet”, pre-





fot. S.Z. Kamiński

■ Fragment wystawy „Nomen Women”, od lewej prace: Andrzeja Brzegowego, Leszka Sobockiego, Małgorzaty Bieleckiej, Jacka Waltosia i Anny Poduszyńskiej; na podłodze praca Aleksandry Gieragi

zentującą dzieła (z kolekcji muzeum) 49 artystek, zarówno tych poszukujących własnej formy, których twórczość jest zjawiskiem wybitnym w polskiej sztuce (np. Maria Jarema czy Jadwiga Maziarska), jak i tych, w których dziełach dostrzegamy bardziej narracyjny, „kobiecy” charakter formy. (Proszę o wybaczenie – to temat „Nomen Woman” narzucił mi takie określenie). Jedną z zaproszonych była Ewa Kuryluk, zaprzyjaźniona z nami od lat malarka, autorka instalacji, rysunków, pisarka – i jako pisarka zaproszona na spotkanie w „Salonie Literackim”. (Nie mogę nie wspomnieć, że w tym „salonie” gościła też rosyjska poetka Bella Achmadulina. Czytała wiersze o wielkich poetach rosyjskich. Pozostało nagranie z poruszającymi, jak muzyka, recytacjami – tłumaczenia czytała Ewa Nakonieczna).

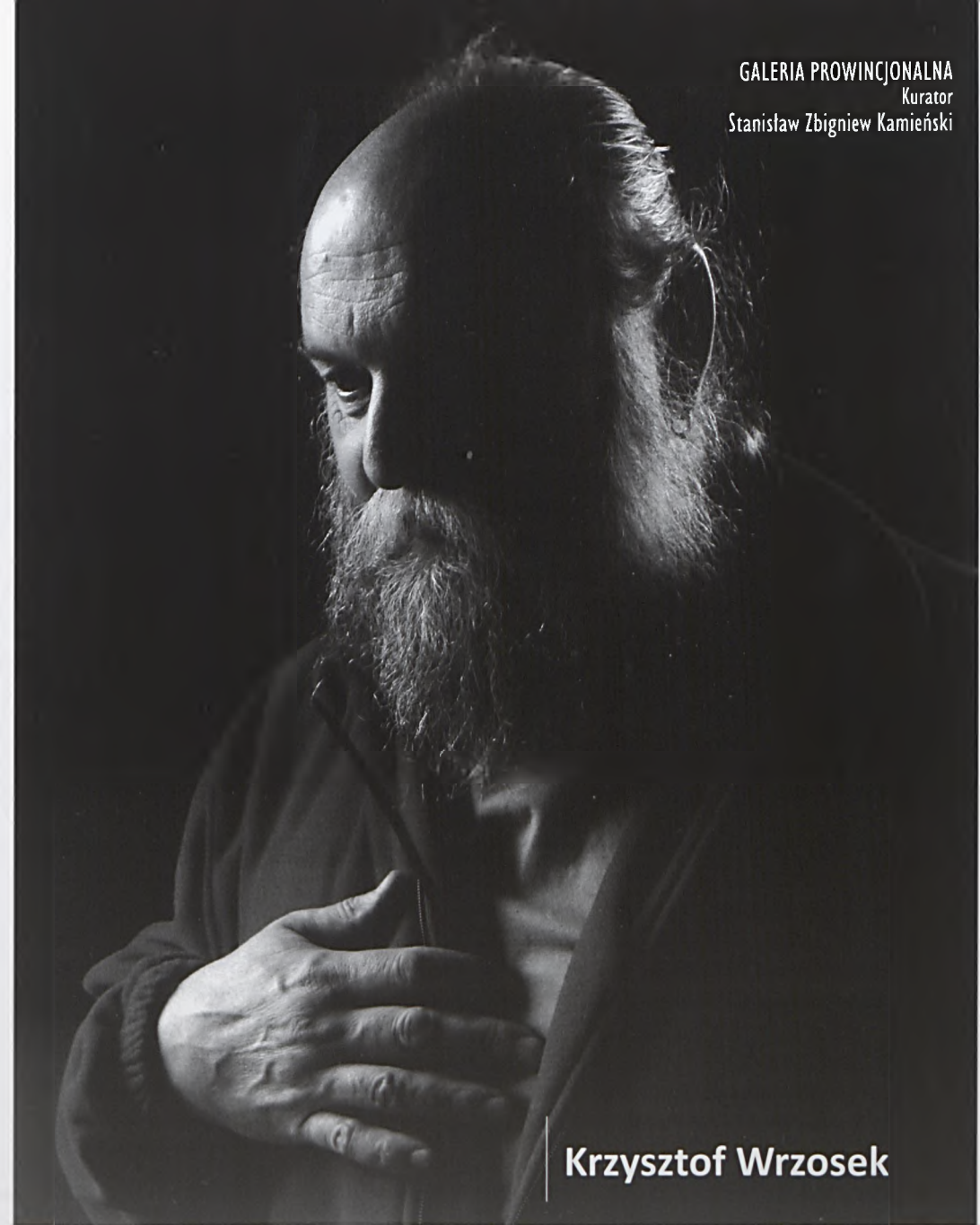
Wśród dzieł najważniejszych w kolekcji Muzeum Sztuki Współczesnej są dwie rzeźby prekursorskie wobec sztuki feministycznej – wcze-

sne prace Marii Pinińskiej-Bereś. Ironiczne manifesty feminizmu z lat 1968 i 1972. Ale pamiętam tę wystawę głównie dlatego, że udało nam się wówczas tak pokazać duży zestaw rzeźb Ludmiły Stehnovej, że nie było wątpliwości, jak wybitną była artystką (na co zwróciła też uwagę Ewa Kuryluk). Sztuka Stehnovej to poszukiwanie formy – organicznej (z inspiracji sztuką Henry Moore’a); ale w niektórych rzeźbach (już nie tak doskonałych), w których umieściła fragmenty figury kobiecej, odczytujemy pełen dramatyzmu zapis kobiecego przeżywania losu, rozpacz, śmierci. Jej sztuka i sztuka kobiet to będzie zawsze temat do rozważań – przy każdej okazji.

**Mieczysław Szewczuk**

Na zdjęciu na stronie 16 tkanina Demelzy Sherwood i obiekt Sylwestra Ambroziaka

GALERIA PROWINCJONALNA  
Kurator  
Stanisław Zbigniew Kamiński



Krzysztof Wrzosek

fot. S.Z. Kamiński

Rysunek powstaje z potrzeby utrwalenia na „obrazku” fragmentu świata oglądanego przeze mnie, niejako po drugiej stronie oczu. Z aparatem fotograficznym wybrać się tam nie jestem w stanie, nawet nie próbuję, nawet nie chcę.

Owa potrzeba manifestuje się na papierze krok po kroku, częśćka po częśćce, w miarę krystalizowania się pełnego obrazu krainy, do której chcę zaprosić innych.

Każda z tych krain jest drobnym fragmentem realnej rzeczywistości, widzianym z bliska, niejako przez szkło powiększające, lecz również rzeczywistości innej, do powołania której niezbędna jest wyobraźnia. W ten sposób z realnych rekwizytów i własnych wyobrażeń powstaje osobisty świat, w którym materialność i duchowość mają zajmować równoważne obszary.

Dążę do osiągnięcia harmonii i równowagi, by każda kropka, każda kreska znalazły się w



rysunku na określonym, tym a nie innym miejscu, żeby wiadomo było, skąd pochodzą i dokąd zmierzają.

Obraz ujawnia się, gdy dojrzał do tego w wyobraźni, wówczas trzeba go po prostu namalować. To, co nas otacza, co wokół, można wykadrować, pozamieniać w obrazy. Składników, ingrediencji co nie miara. Błysk światła, smużka cienia, kolory zestawione ze sobą w nieprawdopodobnym rytmie, czern i biel połączone szarością, spięte w gamę o przeróżnej intensywności, nasyceniu.

„Świat jest w formy bogaty i treści niebiedny” – napisał niegdyś istotny Ktoś. Z tego bogactwa form, wachlarza kształtów, kantów, obłości, zakrzywień i linii prostych na obrazie zbudować można wszystko – współistnienie i odejście od siebie nawzajem, napięcie i równowagę, ciszę i szum, niepokój i harmonię. Zestawić duże z małym, cienkie z grubym, wysokie z niskim, okrągłe z kwadratowym. Jakże nie skorzystać z tego, nie pobawić się takimi możliwościami, nie dać olśnić tej magii, którą zachwycają się dzieci, z radością sięgające po kredki, a która zupełnie nie działa na większość dorosłych ludzi. Czemu? Nie mnie odpowiadać na to pytanie, chociaż mam pewne sugestie. Jedną z nich są „półpancerze praktyczne”, odkryte przez Sławomira Mrożka czas jakiś temu, jednak nadal jak najbardziej aktualne.

I jeszcze obfitość treści świata tego, którą można zawrzeć w pejzażu, portrecie, martwej naturze, rozwiązaniu abstrakcyjnym i stu innych jeszcze pomysłach. Życia jednego zbyt mało, by spod ołówka, piórka, pędzla, szpachli wyłoniło się tyle obrazów, ile drzemie w naszej wyobraźni. Nie umiem nie rysować, nie malować, gdy nie tylko wzrok, lecz i słuch, smak i zapach przynoszą ze sobą skojarzenia, których nie sposób nie ubrać w formę, nie dać im szansy zaistnienia.

Wysoko cenię szkoły filozoficznej pochodzącej ze wschodu, z Azji, a szczególnie bliskie jest mi przesłanie buddyjskie. Zaleca ono, w dużym uproszczeniu, spokój z bacznym obserwowaniem siebie, swego psychicznego wnętrza i otoczenia, zewnątrz, by poprzez znalezienie

harmonii wykorzystać tę współzależność i uruchomić jak najwięcej pozytywnych działań. Myślę, że mogę podążać tą ścieżką, między innymi próbując swych sił w twórczości plastycznej – zaszkodzić komuś raczej nie powinienem, a być może przyniosę radość lub wywołam refleksję tym, co zdołam zrealizować.

Oczywiście, nie jestem zadowolony z wielu dokonań, zawsze mógłbym zrobić coś lepiej, mądrzej, prościej, bardziej wyraziście. Nie dość czasu poświęcam na przeniesienie pomysłów na kartkę czy płótno – zaabsorbowany doskwierającą, ale i fascynującą realnością, życiową krzątaniną, ulubionym lenistwem, czasem przyjemnościami. Ot, raz mniej, innym razem bardziej udana próba osławiania, godzenia, łączenia tego, co należy do realnego życia z tym, co stanowi już świat wyobraźni.

### Krzysztof Wrzosek

#### Krzysztof Wrzosek

Urodził się w 1960 r. w Warszawie. Tam ukończył IV Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza. Studiował weterynarię w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego i psychologię na Uniwersytecie Warszawskim, lecz przeważała potrzeba działań plastycznych. Uczęszczał do Państwowego Ogniska Artystycznego na Nowolipkach oraz korzystał z doświadczeń wielu twórców, których spotykał po drodze. Były to krótkie lub dłuższe koleżeńskie znajomości, galeria ciekawych, czasem wybitnych postaci, dzięki którym świat wydał mu się wypełniony sztuką, bogatszy.

Od 23 lat mieszka w Wyśmierzcach niedaleko Białobrzegów. Wciąż maluje, rysuje, czasem coś pisze. Inspiruje go przyroda, filozofia, ludzie w swych podróżach małych i dużych, muzyka, literatura. Od 10 lat wiele czasu spędza w Skandynawii, zajmując się pracą z drewnem – ciesielką i stolarką. Tamtejsze krainy nie pozostają bez wpływu na jego twórczość. Swoje prace ekspozował na pokazach indywidualnych, wspólnych z żoną Ewą i na wystawach zbiorowych.

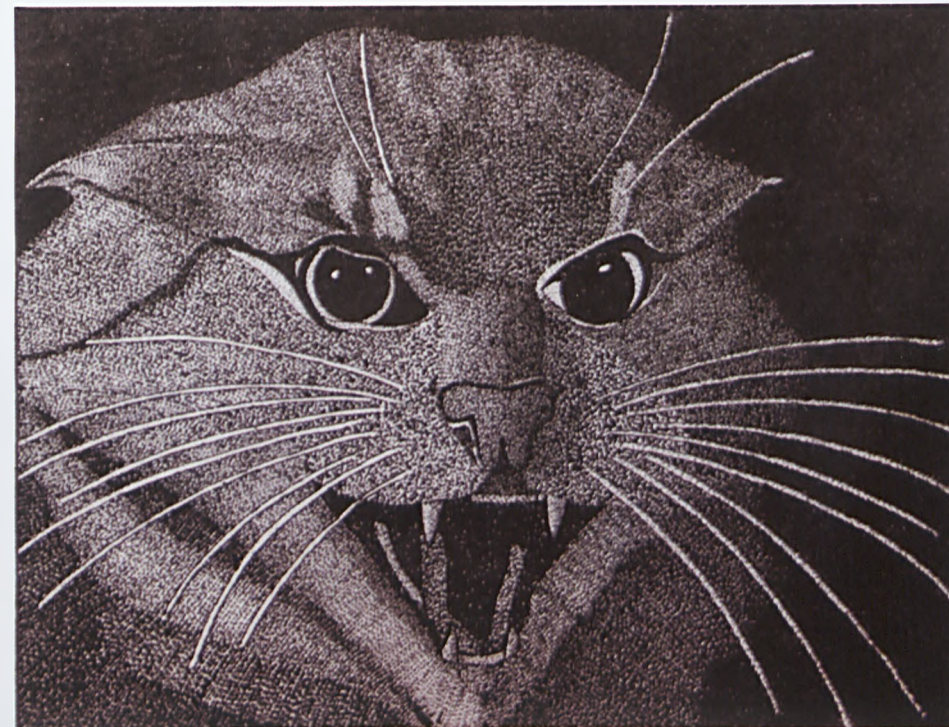


bez tytułu, 2012, tusz, akwarela/papier, 15 x 21 cm

Zmuchony, 1997, tusz/papier, 22 x 14 cm







Małżoraczek, 2013, tusz, akwarela/papier, 21 x 15 cm  
 Hippocampus, 2013, tusz, akwarela/papier, 21 x 15 cm  
 jedna z trzech prac pt. Skamieniałości, 2013, tusz, akwarela/papier, każda 10 x 14 cm

na następnej stronie  
 Kot, 2009, tusz/papier, 10 x 13 cm  
 Ryba, 2010, tusz/papier, 18 x 21 cm





Ornamenty tybetańskie, 2004, olej/deska, 11 x 43, 15 x 71, 17 x 98 cm





bez tytułu, 2003, olej/piótno, 40 x 50 cm

na poprzedniej stronie  
bez tytułu, 2003, olej/piótno, 17 x 23 cm  
bez tytułu, 2004, olej/piótno, 19 x 29 cm



## Święta nasze powszednie

Robert Utkowski



bez tytułu, 2003, olej/płótno, 40 x 70 cm

**2014** mija. Dla jednych – na szczęście, dla innych – szkoda. Ogólnie taki sobie rok, żadna rewelacja. Ani nie wydarzyło się nic specjalnie złego, ani dobrego. Jak to zwykle bywa: kilka osób okazało się skończonymi durniami, kilka innych jest niewartych wzmianki, z niespodziewanych stron przyszły przyjaźnie. Ot, rok jak rok. Nic nie wybuchło, ale w lotto też nie wygrałem. Na szczęście wszyscy zdrowi, jeżeli nie liczyć drobnych przeziębień. Więc chyba ogólnie dobrze. Starzej tylko jakby.

I chyba też smutniej, może przez ten czas, niezatapialny. I może przez to, że kiedyś jakby było barwniej, żywiej. Że może jednak bardziej się szczęściło, choć było biedniej. Może o to chodzi?

Podobno do roślin trzeba mieć rękę. Od kilku lat na święta kupujemy żywą choinkę. Najlepiej – w donicy. Więc nie za dużą, bo nie wniósłbym jej na swoje piętro. Ale, powiedzmy, przyzwoiła. Takie półtora metra, razem z tą donicą. Kiedyś ubieraliśmy tylko sztuczną, wiecie, te wszystkie głosy o tym, żeby nie niszczyć lasów. Jakie czasy, takie głosy. Czasy się zmieniły, głosy też. Teraz lepiej kupować żywą, bo to z hodowli jest, z upraw, nie ma mowy o niszczeniu lasów. A ze sztuczną tylko kłopot. Tak mówią. Bo to plastik, więc się będzie rozkładać latami. Czy ja wiem? Tę sztuczną, gęstą, bogatą, ubieraliśmy przez kilka lat, od kilku leży w pudle w piwnicy, na razie nie przyszło nam do głowy, żeby ją wyrzucić. Te żywe co roku próbuję wkopywać: na podwórku, poza miastem, na działce. Nic z tego. Nie mam ręki do roślin. Jedna tylko się przyjęła. Ale akurat w takim miejscu, że jej lata też są prawdopodobnie policzone.

Po latach doświadczeń pomysł na te święta brzmi zatem: wyciągamy tę sztuczną z piwnicy. Ubieramy ją jak dawniej. Wracamy do tych lat, kiedy może było biedniej (choć teraz też szalu nie ma), ale było intensywnie. Mocno. Zaklinamy rzeczywistość.

Od kilku też lat mówimy sobie (z żoną i synem), że sylwestra spędzimy nad morzem. Taki

feblik. Takie niezrealizowane marzenie. Nie wiem nawet, skąd to się wzięło. Bo wszyscy wolą góry? Kto wie. Może stąd, że kiedyś trafiłem na książki Augustyna Necla, taki kaszubski Sienkiewicz, tylko gorszy, widzę to teraz, ale wtedy zaczytywałem się w jego książkach do późnej nocy. Śniłem potem, że zaciągam się na jakiś kuter i wychodzę w morze, choć wiem, że pewnie rzygałbym dalej niż widzę. Ale Norda już jest tylko z nazwy, na jastarnickim cmentarzu o historii tamtych ziem przypominają tylko warianty tego samego nazwiska: Konkel, Konkol, Kohnke, Kąkol. I może do tych Kąkoli, Kohnków, Selinów i Neceli (Necli?) ciągnie, do tych wiatrów od morza, mew nad zatoką. I do spokoju ciągnie, bo tu rok ciężki, dynamiczny, stresujący. Tam spokój, choć Jastarnia też już nie jest rybacką wioską. Wiosek już nie ma. Nawet świat przestał być globalną wioską. To zbiór pojedynczych chat, każda podpięta do netu. Tak uważają teoretycy i praktycy nowych mediów. Zaciera się granica między konsumpcją a produkcją. Zaciera się granica między pracą a odpoczynkiem. Między prywatnym a publicznym. Między starymi i nowymi świętami. Coraz mniej tych, którzy jeszcze pamiętają, jak wyglądały kiedyś te święta. Ile miały magii. Ile ciepła. Jak były gwarne, choć ciche, bogate, choć biedne, ciepłe, choć na dworze zimno. Nowe coraz bardziej kameralne w kameralnym znaczeniu. Niektórzy na stoku, wieczorem na necie, wrzucając foty. A nawet jeśli nie na stoku, to i tak wieczorem wrzucając foty. I najczęściej w domu. W wąskich kręgach.

No, może z wyjątkiem Wigilii – bo coś jednak jeszcze ciągnie nas do gromady. Do zobaczenia zatem w gromadzie, na Facebooku.

Spokojnych świąt.

**Robert Utkowski**



## To wszystko rodzina

Anna Spólna

– Dzieci to loteria – powiedziała mi kiedyś [...] – Nie sposób przewidzieć, kto się urodzi. Jest się zdany na przypadek.

[...]

– Z dzieckiem jest jak z pudełkiem – zauważyłam. – Trudno wyjąć coś, czego się nie włożyło (s. 59).

**D**ialog prowadzą matka i córka. Ta pierwsza jest chora na alzheimera, a zabrana przez nią na spacer sądzi, że rozmawia z obcą kobietą. Choć nie potrafi już rozpoznać córki. Pozostawia jej w spadku wypowiedziane z wyrzutem słowa: „Nigdy nawet nie zadzwoni. Kiedy ją o coś proszę, zawsze odmawia” (s. 60).

1. Motyw telefonowania jest w powieści *Szum* niezwykle ważny. Magdalena Tulli zaczyna książkę od zrywania rozmowy przez niechętnego kuzyna, kończy na nieudanej próbie przywołania do słuchawki zmarłej matki. Bohaterka powieści boryka się kłopotami w porozumieniu ze światem (tym większymi, że najbliżsi jej ludzie nie są zdolni do otwartej rozmowy, a jednocześnie nie potrafią zastąpić słów serdecznym gestem czy uważnym wysłuchaniem). Za to regularnie sni jej się, że dzwoni do nieżyjącej przyjaciółki, a próby kontaktu z umarłymi odbywają się za pośrednictwem numerów z nieaktualnych notatników lub przedwojennej książki telefonicznej. Komunikacja jest prawie niemożliwa, bo po naszej stronie zawsze coś jej przeszkadza: dopiero tam, w pośmiertnym trwaniu, nie ma „szumu”, który w książce staje się synonimem życia.

2. Odpowiedź na pytanie „dlaczego?” brzmi u Tulli zawsze: „bo tak”. Nakaz wstydu jest się tą-

czony z zakazami, krzywdzące pomówienia, lekceważenie, obojętność nie zmieniają faktu, że rodzina na swój sposób wzajemnie się wspiera (ciotka pociesza dręczoną wyrzutami sumienia siostrzenicę, ta z kolei pomaga jej zmierzyć się z przeszłością na wystawie poświęconej obozowi śmierci). Po kolei umierają wszyscy, do których czuła żal, tylko „on, syn swojej matki”, jak nazywa cioteczne brata, pozostaje gwarantem dawnego, nienegocjowanego zbioru reguł, według którego bohaterka była kłopotem, kłamczuchą, kaczką dziwaczką. Wtedy nie słyszało się o dysgrafii czy dysleksji, nadpobudliwe i znerwicowane dzieci otumaniało lekami. „Jak trudno być mną” – myśli bezradna dziewczynka (s. 57).

3. *Szum* jest z jednej strony zapisem socjalistycznej codzienności, z drugiej, wyobrażonego przez dziewczynkę świata kompensacyjnych fantazji. Szkoła w „niewidocznych i bezwonnych oparach przymusu”, autobusy miejskie jako enklawy wolności i źródła niezafałszowanej wiedzy c

świecie, a równolegle las zamieszkały przez przyjacielskiego lisa i spętanego dla bezpieczeństwa esesmana – stałych towarzyszy małej bohaterki. Wojna jest w tym świecie integralną, choć często nienazywaną częścią rzeczywistości. Tulli pokazuje, jak ignorancja, strach, antysemityzm, poczucie władzy i pamięć niewyobrażalnych okrucieństw zniekształcają codzienne rela-

cje, wymuszają kłamstwa, szkołą we wzajemnej nieufności.

4. Pierwszoosobowa narracja w jawnie autobiograficznej książce, powracającej do niektó-



rych wątków znanych z *Włoskich szpilek*, mogła stać się okazją do gorzkich rozliczeń. Jednak dziewczynka, potem kobieta, opisująca swoje zmagania z „szumem” życia, nie potrafi i nie chce oskarżać. Skoro w jej domu „w martwej ciszy waleśali się esesmani” (s. 119), skoro matka i jej siostra „śmiały się wtedy, kiedy opadały im ręce” (136), musiała zostać naznaczona. Nie zamierza jednakże cenzurować swoich wspomnień. Symboliczna próba przemalowania męskich tyżew tak, aby wydawały się białe, jest pouczająca: „Było gorzej, niż gdybym nic z tym nie robiła” – pisze Tulli (s. 115). Matka narratorki milczała, by przemilczane przestało istnieć. Córka obiera strategię przeciwną – pisze, by swojej rany nie przekazywać bezgłośnie dalej.

5. Wieńcząca książkę scena w „sądzie najniższym” jest, jak cała powieść, napisana spokojnym, sprawozdawczym stylem, choć odbywa

się w niej ujawnienie najbardziej traumatycznych wspomnień. Upiorni goście wypełniający szczelnie podziemia sądu muszą się zmieścić: „Dokąd ich odeślemy? To wszystko rodzina” – mówi lis, najmądrzejszy doradca narratorki (s. 182). W tej zapchanej nieszczęściem piwnicy padają słowa o zapominaniu win. O uśmierceniu w sobie ofiary, o przebaczeniu, bez którego nie można żyć po ludzku.

Tulli napisała bardzo potrzebną książkę. Mądrą bez erudycyjnych popisów, wiarygodną, bo pozbawioną stylistycznego efekciarstwa. Powieść, którą czyta się z wdzięcznością.

Anna Spólna

Magdalena Tulli, *Szum*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2014.

## Choinkowe misterium i świąteczne ozdoby Jana Kurzątkowskiego

Ilona Michalska-Masiarz

**C**zy dla dorosłego człowieka choinka jest jeszcze misterium? Czy nadal potrafimy cieszyć się, jak dzieci, ze świąt? Czy raczej narzekamy na przemęczenie, konieczność sprzątnięcia, robienia zakupów, gotowania i... ubierania tradycyjnego bożonarodzeniowego drzewka? Na pewno z biegiem lat i Wielkanoc, i Boże Narodzenie – to najpiękniejsze, najbardziej radosne ze świąt – tracą swój niepowtarzalny urok, a przynajmniej przywykamy do niego. Magię przywraca na chwilę coś, co wyzwała nasze wspomnienia, te pierwsze, dziecięce, najbardziej wyjątkowe. Może to będzie pierwsza wspólna choinka po założeniu własnej rodziny? Może pierwsza Wigilia, którą spędza się z własnym dzieckiem? Lub ta, kiedy na świat przychodzą wnuki i to ich zachwytem na

widok kolorowego drzewka i prezentów pod nim karmimy się, cieszymy.

Na pewno daleka od misterium jest wszechobecna komercjalizacja, od której trudno uciec. Ozdoby choinkowe pojawiają się w sklepach już na początku listopada... Co tam w listopadzie... W ubiegłym roku zirykowało mnie, gdy w jednym z radomskich marketów bombki, choinki, bałwanki, aniołki i reniferki zostały wystawione do sprzedaży pierwszego lub drugiego dnia po Wszystkich Świętych,

Zastanawiam się, czy nie ma sposobu, aby wrócić do misterium i widzieć pewną szansę w modzie na rękodzieło. Serwisy społecznościowe i portale rękodzielnicze pękają w szwach od ogłoszeń dotyczących sprzedaży kartek, choinek z makaronu czy z piórek, bom-



bek z cekinów, wstążki lub dzierganych na drutach bądź na szydełku, a YouTube, czasopisma „robótkowe” i blogi pełne są filmików i instrukcji wykonania.

Skąd się wziął zwyczaj ozdabiania bożonarodzeniowego drzewka zabawkami, bombkami? Szybka odpowiedź daje najpopularniejsze we współczesnym świecie źródło informacji, czyli internet i Wikipedia. Czytamy tam m.in.: „Ozdoby choinkowe wykonywane są z różnych materiałów w celu zdobienia bożonarodzeniowych choinek. Dawnymi tradycyjnymi zdobieniami choinkowymi były ciastka, pierniczki (wyiekane często w kształcie serc), orzechy, małe czerwone tzw. rajskie jabłuszka, własnoręcznie wykonywane w czasie adwentu ozdoby z bibuły, kolorowych papierów, piórek, wydmuszek, słomy i żdźbeł traw, kłosów zbóż itp. Zwyczaj tworzenia zabawek na choinkę wywodzi się z tradycji zdobienia świątecznych drzewek dziełami domowej roboty. W dwudziestolecie międzywojennym w Polsce dziedziną tą zaczęli profesjonalnie zajmować się znani artyści, tacy jak np. Jan Kurzątkowski. Zespół zabawek choinkowych wykonał też m.in. rzeźbiarz Józef Gosławski w latach 50. i na początku lat 60.”.

Kurzątkowski... Gosławski... Kto zacz? Może wykażę się ignorancją, ale pierwsze słyszę... Podobno ciekawość to pierwszy stopień do piekła, ale czasami może także zaprowadzić do raju dla regionalistów... Otóż okazuje się, że Jan Kurzątkowski urodził się w... Radomiu. Zapewne niewielu mieszkańców naszego miasta wie, kim był ów pan. A tymczasem to człowiek określany mianem ikony designu, znany XX-wieczny projektant...

Jan Kurzątkowski urodził się w 1899 r. Niestety, nie znamy szczegółów jego związków z naszym miastem, nie wiemy, kiedy z niego wyjechał, raczej nie czuł się z nim związany, bowiem w powojennej prasie brakuje wzmianek o jakichś odwiedzinach w Radomiu, żaden z dziennikarzy nie trafił na jego ślad i nie utrwalił go w postaci wywiadu w lokalnej prasie. To z całą pewnością temat wart zgłębienia, bowiem powstać to niepoślednia.

Profesor całe życie związany był z warszawską Akademią Sztuk Pięknych. W dwudziestolecie międzywojennym studiował na Wydziale Architektury Wnętrz w poprzedniczce ASP, czyli Szkole Sztuk Pięknych. W 1928 r. został asystentem prof. Wojciecha Jastrzębowskiego w Pracowni Kompozycji Brył i Płaszczyzn teŹże uczelni, a od roku 1936 prowadził tam wykłady z kompozycji brył i płaszczyzn. Po wojnie do pracy pedagogicznej powrócił, tym razem na Wydziale Architektury Wnętrz. W 1952 r. uzyskał tytuł profesora i został kierownikiem Pracowni Mebli, zaś trzy lata później otrzymał tytuł profesora zwyczajnego i kierownictwo Katedry Projektowania Wnętrz.

Miano ikony designu przyniosły mu przede wszystkim projekty mebli. Należał do grona założycieli Spółdzielni Artystów „Ład” (1926–1996), która miała kształtować gusty Polaków. Już w samej nazwie zawarty został program artystyczny: „Ład, bo to tylko trzy litery, bo to znaczy, że ma być ładnie i ma być w tym ład – porządek. Celem spółdzielni było projektowanie i wytwarzanie mebli, tkanin, ceramiki i innych przedmiotów wyposażenia wnętrz mieszkalnych, z wyraźnym dążeniem do doskonałości formy, surowca i wykonania”. Najbardziej znane projekty Kurzątkowskiego to krzesła „Piórka” (1936), stolik ze szklanym blatem i półką z żyłki (lata 60.), karafka i kieliszki ze szkła barwionego zaprojektowane dla Huty Szkła Gospodarczego w Szczytnej Śląskiej (1947–1949), fotel „Byk” (koniec lat 60.). Wiele z nich to prototypy, które nigdy nie weszły do seryjnej produkcji.

Ale nas interesuje świąteczne misterium, a w Wikipedii profesor został wymieniony właśnie jako twórca choinkowych ozdób. Papieroplastyką zajął się już w czasie studiów, tuż po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Tworzył wszystko: od form na dużą skalę po malutkie, bardzo wiernie odwzorowane figurki ludzkie. W projektach tego typu wykorzystywał tanie i popularne materiały, realizując ideę piękna dla wszystkich. Szczególny czas dla tej twórczości przypadł na lata okupacji. Wówczas, za

pośrednictwem Instytutu Promocji Sztuki, wytwarzał i sprzedawał około 2000 dekoracji choinkowych rocznie. Jego papierowe rzeźby stały się na tyle znane, że w ramach Wystawy Polskiej Sztuki Ludowej i Rzemiosła Artystycznego w latach 1948–49 objechały Moskwę, Kijów, Leningrad i Paryż. Niestety, z powodu rodzaju materiału, z jakiego były wykonane, niewiele dotrwało do naszych czasów...

Wyobrażam sobie, że powrót do choinkowego misterium byłby możliwy także za sprawą takich wyjątkowych zabawek i ozdób. Przynajmniej jest to sposób dla mnie. Kiedy przyszło mi ubierać pierwszą choinkę po założeniu podstawowej komórki społecznej, dokonał się (ku mojemu wielkiemu zadowoleniu) podział rodzinnego „majątku”. Jakże inaczej bierze się do ręki stare bombki kupowane jeszcze przez babcię w ciężkich latach 70. (tak niewiele ich już

zostało i z roku na rok ubywa...), uroczę mikołaje, bałwanki, zajączki (choć niektórym odkleiła się broda czy ucho) zdobywane przez mamę w kryzysowych latach 80. Co roku drzę podczas otwierania pudełek, czy wszystkie przetrwały, gdyż przywołują beztroskie wspomnienie radosnego dzieciństwa i domu pełnego miłości. I wcale nie zależy mi, żeby moje drzewko było wystrojone według najnowszej mody kreowanej przez nie wiadomo kogo z czasopiśmie wnętrzarskiego czy z działu zaopatrzenia dużego sklepu. Dlatego chciałabym Państwu życzyć właśnie możliwości powrotu do choinkowego misterium...

*Ilona Michalska-Masiarz*

## Nie ma złej pory na niebo

Krystyna Kasińska

Niebo bowiem wyrывa z rutyny życia. A dla każdego z nas, może się nim stać drugi człowiek. Nie tylko bliski, ale nawet ten przypadkowo spotkany, diametralnie inny niż my, który dzięki swej odmienności pozwoli nam odkryć siebie na nowo i dla którego staniemy się po prostu ważni.

Udowadnia to Julia Wernio, reżyserka „Pierwszej młodości” Ch. Giudicellego, najnowszej premiery w radomskim teatrze. Nie bez kozery, w kluczowych momentach akcji, powtarza się wybrany prze nią evergreen Irvinga Berlina „Cheek to Cheek” w wykonaniu Louisa Armstronga. Wojciech Młynarski przetłumaczył jeden z wersów piosenki: „...W niebie, jestem w niebie/ Czuję się jak każdy, mija passa zła...”.

Bohaterkami sztuki (premiera odbyła się w paryskim teatrze La Bruyere w 1987 r.) są dwie starsze, rozczarowane życiem panie, które spotykają się na szkolnym balu. Renée (Iwo-

na Pieniążek), stateczna córka pastora, jest emerytowaną nauczycielką. Nikt na nią nie zwraca uwagi, rozpoznają ją nieliczni. Siedzi więc w kącie, obserwuje bawiących się i generalnie ma za złe. Jej szczególne oburzenie budzi wyglądająca na rówieśnicę krzykliwie ubrana kobieta, która pije bez umiaru, tańczy samotnie na parkiecie w sposób nieliczący z wiekiem i w końcu, zamroczona, pada na parkiet. I wtedy Renée, mimo oburzenia nietaktownym zachowaniem kobiety, śpieszy jej z pomocą. Okazuje się, że Simone (Danuta Dolecka), wdowa po handlarzu na targowisku, niewykształcona i zachowująca się niestosownie, wręcz prostacko, towarzyszy swoim dzieciom i wnukowi.

Tak zaczyna się zaskakująca przyjaźń, która odmienia życie zgorzkniałych pań. Zgodnie podejmują decyzję o eskapadzie w daleki świat, by tam odnaleźć zagubioną przed laty młodość.





fot. archiwum teatru

■ Danuta Dolecka i Iwona Pieniążek w „Pierwszej młodości” w reż. Julii Wernio

Renée (zamożna stara panna, która całe życie borykała się w purytańskim domu ze swoją samotnością), bierze na siebie ciężar sfinansowania ucieczki ze świata, w którym obie kobiety – zdaniem swoich środowisk – są za stare i na prawdziwe życie, i na marzenia. Rolę przewodnika w nietypowej podróży przejmuje mająca najczęściej szalone pomysły Simone, która tak bardzo przeszkadza bliskim, że załatwili jej miejsce w domu spokojnej starości.

Nie wszystko jednak idzie zgodnie z planem. Najpierw ktoś kradnie na lotnisku torebkę ze wszystkimi oszczędnościami Renée. Potem ona kradnie czyjś bagaż, ale w środku są tylko męskie ciuchy i... broń. W dodatku coraz bardziej zmęczone przyjaciółki, brane za lesbijki (Renée nosi ślubną suknię nowo poznanej koleżanki), mają problem ze znalezieniem noclegu. Z pomocą przychodzi ułańska fantazja Simone, która przebiera się za mężczyznę. Egzotycznie wyglądającą parę nowożeńców przygarnia wreszcie jakiś hotel. Rankiem „małżeństwo”, nadal

bez grosza przy duszy, uymka cichcem i rusza na lotnisko. To tam rozegra się finał. Nieco inny niż we francuskim oryginale, ale równie zaskakujący.

Polecam ten zabawny, momentami wrzuszający, choć ironiczny spektakl o samotności człowieka. Przede wszystkim ze względu na grę i Danuty Doleckiej, i Iwony Pieniążek. To kolejny popis aktorskich umiejętności obu pań: żadnych zbędnych min, wyważony ruch i gestykulacja, świetna dykcja. Danuta Dolecka z równą łatwością wciela się w źle wychowaną przekupę, jak w rubasznego pana młodego. A oboje bohaterów, którzy rządzą się emocjami, łatwo było przerysować. Iwona Pieniążek przeciwnie. Jej niekoniecznie sympatyczna stara panna, na której charakterze odcisnęło piętno purytańskie wychowanie, panuje nad emocjami: trzyma fason w stroju, gości, doborze słów nawet wówczas, kiedy targają nią sprzeczne uczucia.

Przedstawienie oglądałam z równym zainteresowaniem i wzruszeniem, jakie (przed sze-

ściu laty na Scenie Kameralnej) towarzyszyły mi podczas premiery „Dnia Walentego” Iwana Wyrupajewa w reżyserii Andrzeja Sadowskiego. Ale... choć podziwiałam i kunszt zawodowy obu pań, i świetny pomysł pani reżyser na muzykę ilustrującą przedstawienie, nie uważam, aby Scena Kotłownia była wymarzonego miejscem dla tego typu spektakli. O ile można bez problemu przyrzeć się kostiumom i umownej scenografii (Elżbieta Wernio), to jednak wyświetlane w tle obrazy, będące jej nieodłącznym elementem, uymkają uwadze widzów siedzących pod ścianami. Na szczęście bez szczególnej krzywdy dla akcji na scenie.

I jeszcze jedna uwaga. Pięknym i znaczącym elementem przedstawienia jest slow-fox, tańczony kilkakrotnie w rytm melodii Berlina. Na-

prawdę para Dolecka–Pieniążek bez problemu mogłaby szukać szczęścia w tanecznych zmaganiach telewizyjnych. Duża w tym zasługa Romana Pawelca, konsultanta układu. Niestety, informacji o współpracy z jednym z czołowych polskich tancerzy próżno by było szukać w programie. Szkoda, bo ten „drobiazg” nie najlepiej świadczy o radomskiej scenie.

**Krystyna Kasińska**

Teatr Powszechny im. Jana Kochanowskiego w Radomiu. Christian Giudicelli „Pierwsza młodość”. Reżyseria: Julia Wernio. Scenografia: Elżbieta Wernio. Premiera: 7.11.2014 r. Scena Kotłownia.

## Gene Hackman gra na saksofonie

Grzegorz Sasin

**D**alekopis wystukuje kolejne informacje o skandalu politycznym z Białym Domem w roli gwiazdy. Co news, to nowa demaskacja przestępstw wysokich urzędników, nowe dymisje, nowe wyroki – aż do rezygnacji z prezydentury Richarda Nixona. Tak kończą się „Wszyscy ludzie prezydenta” Allana J. Pakuli. Amerykanie mają kaca, ale są dumni, że obronili pryncypia demokracji – za sprawą czujnych dziennikarzy „Washington Post”.

Struktura tego filmu jest rodem z thrillera, choć clou akcji stanowią dialogi i monologi informatora reporterów Bernsteina (Dustin Hoffman) i Boba Woodwarda (Robert Redford). Ale ten wyciek informacyjny buduje napięcie. Do tego stopnia, że będący tylko głosem informatora (zwany od sławnego w tamtym czasie filmu pornograficznego „Głębokie gardło”) staje się głównym bohaterem filmu. Dziennikarze to tylko jego pomocnicy, którymi manipuluje, chociaż i Bernstein, i Woodward myślą, że są

bohaterami demokracji, którzy ocalają kraj od zagłady (dosłownie!) – pokazują wszak, że istnieje jeszcze jedna władza: czwarta. I to ona jest najważniejsza, bo stanowi prawdziwy głos ludu w przeciwieństwie do Kongresu i urzędu prezydenta. Ale ta czwarta władza, tak zadufana w sobie, nie umie słuchać... Gdyby umiała, dostrzegłaby, że „Głębokie gardło” selekcjonuje informacje, dawkuje smakowite kąski, a decyzje, przecież polityczne, podejmuje redaktor naczelny gazety Bradlee (Jason Robards). To właśnie obaj dziennikarze są rządzeni za pomocą manipulacji, a więc władza prasy okazuje się wątpliwa, iluzoryczna, co jest zwykłe przy tzw. śledztwach dziennikarskich, bo na ujawnianiu skandali ze szczytów władzy zawsze komuś zależy. Inaczej nie byłoby przecieków. Ale dobrze nam tak mówić 40 lat po tamtych wydarzeniach, gdy ujawniły się pewne fakty – że owym informatorem był Mark Felt, wicedyrektor FBI, który miał osobistą anse do Nixo-





■ Gene Hackman (Caul) w „Rozmowie” w reż. Francisa Forda Coppola

na i zechciał go zniszczyć, wykorzystując swoją przyjaźń z innym republikaninem, tj. reporterem Bobem Woodwardem. I tak dwaj kumple wykończyli prezydenta, by osobistym urazom stało się zadość, a ich kraj stanął na skraju kryzysu, bo dla świata to nie była obrona demokracji lecz obnażanie słabości Stanów Zjednoczonych, bo przecież prezydent nie może tyle co sowiecki gensek, nic nie może! A zatem, być może ów dyrektor FBI też był manipulowany? Przez KGB? W każdym razie to, że Amerykanie (i nie tylko) zapadli w stan szoku, wskazuje, jak jeszcze kilkadziesiąt lat temu świat był niewinny, jak wierzył w moralne wartości polityki i prasy. Nic dziwnego, skoro do afery Watergate polityka toczyła się w cieniu, za zamkniętymi drzwiami (to sformułowanie wzięłem ze sławnego ongiś serialu „Waszyngton za zamkniętymi drzwiami”), jak to pokazywał wcześniejszy o lata film „Ten najlepszy” Franklina Schaffnera, w którym politycy szpiegowali się wzajem i zadawali ciosy jakby zza węgła – niczym bohaterowie romansu w stylu Dumasa czy Eugenia Sue. Ale te czasy odchodziły już do lamusa. Oto nastała świetlana jutrzeńka elektroniki. Świat zaczął się zmieniać... Niemniej: „Zaprawdę jedna strona gazety zawiera więcej cudów niż cała Biblia” (Aleksander Wat, *Bezrobotny Lucyfer*).

Na fali Watergate wrócił na ekrany film z 1969 r., czyli „Taśmy prawdy” Sidneya Lumeta. Otóż wytrawny włamywacz (Sean Connery) zbiera grupę fachmanów w celu okradzenia pewnego domu w Nowym Jorku. Banda opracowuje wyrafinowany, zapięty na ostatni guzik plan akcji. Nie mają pojęcia, że o wszystkim wiedzą i w departamencie skarbu, i w FBI, i w DEA (biuro od narkotyków), gdyż podsłuchiwanie są niektórzy z członków szajki. A więc wszyscy wszystko o sobie wiedzą za sprawą wtargnięcia elektroniki do ludzkich porachunków. Tylko biedni gangsterzy zdają się działać według dawnych, romantycznych, staromodnych zasad. A jednak ich akcja przebiega bezszmerowo. Policja o niczym nie wie, gdyż te wszystkie instytucje rządowe podsłuchują nielegalnie, bez zgody sądowej. Lepiej więc, aby gangsterzy dokończyli swoją robotę i wynieśli się. I wilk będzie syty i owca cała. Interwencja policji jednak następuje – też za sprawą techniki, ale cokolwiek antycznej, za sprawą krótkofalówki. To pewien chory chłopiec lokalizuje napad, przekazuje wiadomość w eter, przechwytuje to na Hawajach inny krótkofalowiec, i tak informacja trafia do siedziby nowojorskiej policji, która z rozmachem, hałasem wkracza do akcji i wyłapuje gangsterów – o tym, że cała akcja została wcześniej nagrana, nikt się

nie dowie. Taśmy prawdy zostają zniszczone. Wszyscy uczestnicy tego zdarzenia okazują się mentalnie tacy sami jak z czasów autora „Sztuki wojny” Sun Tzi, który uważał szpiegostwo za pierwszy krok do zwycięstwa. Okazuje się, że zmiany w obyczajach spowodowane przez rozwój techniki są nieznaczne. Reakcje ludzkie są właściwie niezmiennie. Dlatego wciąż w obiegu jest renesansowy truizm, że „nic co ludzkie nie jest mi obce”. Kiedyś szpiegowałem sąsiada zza neolitycznego głazu, dziś ze słuchawkami na uszach.

Za proroka uznano też Francisa Forda Coppolę, który zaproponował swoją wizję świata na podsłuchu w „Rozmowie”, filmie z 1974 r. Jest to historia Harry’ego Caula, maniaka elektroniki, gatunek – podsłuch. Caul (Gene Hackman) uważa się za podsłuchowego geniusza, co demonstruje, nagrywając w nowojorskim tłumie rozmowę jednej młodej pary. Energia do tej pracy aż go rozsadza, zdaje się, że zaraz eksploduje w udarze mózgu. Zwłaszcza wtedy, gdy koledzy podsłuchowcy robią mu kawał – za pomocą mikrofonu ukrytego w długopisie nagrywają jego rozmowę z przygodną kochanką. Wtedy też zaczyna mu być żal podsłuchiwanego pary. Chce im pomóc i pakuje się w paskudną intrygę: ginie jego zleceniodawca, a młoda para ma się dobrze. W przeciwieństwie do Caula, który najpierw szuka pociechy w kościele (jest katolikiem), a potem na podstawie pewnych przesłanek uświadamia sobie, że sam też jest obiektem podsłuchu, że być może jego życie znalazło się w zagrożeniu. Zaczyna więc szukać mikrofonów. Demoluje całe swoje mieszkanie, demontuje wszystkie sprzęty i nic nie znajduje. W końcu siada i zaczyna grać na saksofonie. Szuka w jazzie ukojenia. Bo gdzież są te cholerne mikrofony? Przeszukał przecież wszystko... Podsłuchiwałeś, więc ciebie podsłuchują, kontrolują. Sekret przestał być absolutny, przestaje istnieć.

Ostatnia scena. Caul gra na saksofonie. Dzwoni telefon. Ekran wypełnia ręka Caula i słuchawka telefonu. Nikt się nie odzywa. Ale kto dzwoni? Numer telefonu Caula zna tylko

on sam... Ostrzeżenie. I świadomość, że Caul będzie odtąd zawsze na podsłuchu. A może mikrofony zostały mu wmontowane do mózgu?

„Życie na podsłuchu”, czyli Stasi kontra obywatele NRD. W filmie Floriana Henckela von Donnersmarcka wciąż pracują magnetofony. Totalny podsłuch całego społeczeństwa trwa. Pewien komfort mają tylko wybrani „obywatele”, którzy nie są przesłuchiwanymi jako masa detaliczna, lecz jako towar luksusowy, jak niejaki Georg, dramaturg, który podpadł władzom (Sebastian Koch), jak jego żona, wybitna aktorka (Martina Gedeck). Stasi zakłada im podsłuch i sadza przy nim swego wybitnego wywiadowcę Gerda Wieslera (Ulrich Muehe). I nagrywają się rozmowy, szumy domowe, westchnienia miłosne, kłótnie małżeńskie, rozmowy na przyjęciach. Dosłownie wszystko. Ale haka na dramaturga Georga wciąż nie ma. Ponieważ podsłuch tej perfekcyjnej instytucji, za jaką uchodzi Stasi, nie jest doskonały: brakuje kamer. Bez obrazków więc ani rusz. Pozostaje szantaż, któremu zostaje poddana żona podsłuchiwanego, aktorka przecież – łatwo ją zmusić do współpracy – teatry były państwowe, kino było państwowe, telewizja też. Dopiero wtedy agenci Stasi dowiadują się, gdzie są schowane trefne materiały. I tu mamy kontrpunkt. Stuprocentowy agent Wiesler, zakochany w aktorce, zabiera kompromitującą bibułę, zanim znajdą ją jego koledzy. Zresztą, czy to tylko z miłości tak postąpił, trudno orzec. Może ogarnęła go chęć oczyszczenia się, etyka odzyskała swoje miejsce w mózgu szpiega... Niewykluczone, bo film ten ma niejaki polor tragedii. Wszyscy znajdują się w sytuacji bez wyjścia – w najgorszej żona i aktorka, która popełnia samobójstwo – rzuca się pod nadjeżdżający samochód.

Koniec NRD. Dramaturg wydaje książkę, którą dedykuje tajemniczemu obrońcy. Czyli domyślił się... Wiesler zaś książkę kupuje i zaczyna czytać... Historia trwa.

Trwa w filmie „W sieci kłamstw” Ridleya Scotta, gdzie agent Roger (Leonardo DiCaprio) bryka w terenie, a jego kolega Ed (Russell Crowe) siedzi w biurze centrali CIA i śledzi swo-



ich i cudzych agentów wszędzie. Śledzi cały świat za pomocą najnowocześniejszej techniki i kwestionuje w ogóle wszelkie bezpośrednie ludzkie działania. Zamiast niedoskonałego człowieka doskonała technika. Totalna inwigilacja – co też jest tematem „Skyfall” – ostatniego Bonda, wyprodukowanego na 50-lecie tej szpiegowskiej serii.

Więc tak już ma być? Wszyscy się zgadzają? Więc: „Ale wszystko już było dobrze, wresz-

cie było dobrze; walka się skończyła. Odniosł zwycięstwo nad samym sobą. Kochał Wielkiego Brata” (George Orwell, *Rok 1984*).

Wszyscy wszystko wiedzą. Wszyscy wszystkich śledzą. Wszyscy wszystkich podsłuchują. Wszyscy... Prywatność się skończyła. Pora umierać!

Grzegorz Sasin

## Trzynasty nie tylko na jazzowo

Krzysztof Majerczyk

**T**ej jesieni w Radomiu po raz 13. odbył się Radomski Festiwal Jazzowy, organizowany przez Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria „Łażnia”, a wspierany przez American Corner, radomski „Amfiteatr” oraz hotel Iskra.

Inauguracyjny koncert odbył się 17 października w „Amfiteatrze”, gdzie Grażyna Schabowska – dyrektor tej instytucji – oryginalnie, bo wokalnie przywitała muzyków oraz fanów bluesa fragmentem piosenki z repertuaru zespołu Gayga i Prorok „Graj nie żałuj... a niech tam na sali wrze, niech dowiedzą się, jak gra polski bluesman”. Na takie gorące zawołanie odpowiedział jeden z tuzów polskiego bluesa – Sławek Wiercholski z Nocną Zmianą Bluesa. Zagrali świetny koncert, na który złożyły się znane sprzed lat przeboje zespołu, a także utwory z najnowszej płyty Wiercholskiego „Materiałyka serc”. Nie zabrakło pełnych ognia pojedynków harmonijka ustna kontra slide guitar, był pokaz gry na washboardzie (czyli „najwłaściwszego” zastosowania tary do prania) oraz improwizacje. I choć grupa działa ponad 30 lat, wciąż może się podobać jej własny, niepowtarzalny styl będący fuzją bluesa, folku, jazzu i piosenki autorskiej. Radomska publiczność podziękowała im w ulubionej przez artystów formie standing ovation.

Tydzień później, już w gmachu „Łażni”, nie mniejszych emocji dostarczyło trio Ajagore (Sławomir Kornas – bas, śpiew; Maciej Kortas – gitary, efekty; Michał Szczepkowski – perkusja) – niezwykle wszechstronni artyści o świetnej technice i doskonałym wyczuciu. Zagrali efektowną i trudną do zaklasyfikowania muzykę, momentami estetycznie osadzoną w jazzie, country, folku, rhythm’n’bluesie bądź rocku. Cechuje ich łatwość mieszania stylów i gatunków muzycznych oraz ciekawa tematyka piosenek (niektóre zainspirowane polskimi tekstami ludowymi).

Trzeci festiwalowy koncert odbył się 25 października i miał już charakter stricte jazzowy. Formacja Przemysław Strączek International Group w ramach międzynarodowej trasy promowała płytę „White Grain Of Coffee”. Lider grupy, uzdolniony technicznie gitarzysta, aranżer i kompozytor, od kilku lat konsekwentnie realizuje swoje pomysły artystyczne. To już czwarty jego album. W nowej autorskiej muzyce słychać echa stylu gry legend jazzu gitarowego (szczególnie Jima Halla i George’a Bensona). Strączek ze szczególną starannością podchodzi do melodyki i barwnej harmonii, a jego koncepcja znajduje zrozumienie i odzew w zespole (współpracuje z zagraniczną sekcją ryt-

miczną: kontrabasistą Francesco Angiuli (Włochy) i perkusistą Flavio Li Vigni (Wielka Brytania) oraz znanym polskim pianistą Michałem Wierbą). Razem muzycy dobrze się dopełniają, tworząc obiecujący skład na przyszłość.

Kolejne, szczególnie wyczekiwane na festiwalu wydarzenie, nastąpiło sześć dni później. Formacja Jorgos Skolias & Oleś Brothers zaprezentowała autorski projekt o nazwie „Sefardix”. I chociaż to nie było przedsięwzięcie nowe (pomysł narodził się dużo wcześniej z myślą o festiwalu Nowa Muzyka Żydowska, zarejestrowany w Wojkowicach w listopadzie 2011 r. materiał został opublikowany na płycie dwa lata później), to dopiero teraz radomska publiczność mogła się z nim zapoznać na scenie. W wypełnionej po brzegi sali „Łażni” popłynęła wyjątkowa muzyczna opowieść – redefinicja odkrywanej na nowo kultury sefardyjskiej. Wrażliwość i oryginalna technika śpiewu Skoliasa, wokalisty i kompozytora greckiego pochodzenia, oraz kreatywność sekcji rytmicznej Braci Oleś (Marcin – kontrabas i Bartłomiej Brat – perkusja) dały niesamowite połączenie, pełne odniesień do śródziemnomorskiej kultury. Był to koncert, który z pewnością długo zostanie w pamięci fanów jazzu.

W sobotę (8 listopada) podjęto nietypową próbę wzbogacenia festiwalowego programu. Radomska publiczność miała okazję przeżyć nie lada doznania muzyczne podczas spotkania z Ade Evans Jan Olszewski – Duo. Jan Olszewski, radomski prawnik, jest znanym i poważanym hobbistą jazzu, kolekcjonuje płyty oraz instrumenty muzyczne, a także gra na kontrabasie. Na radomski występ zaprosił do współpracy Ade Evansa, brytyjskiego multiinstrumentalistę (perkusistę, gitarzystę i basistę) z ponad trzydziestoletnim doświadczeniem zarówno w pracy studyjnej, jak i w występach na żywo. Ich koncert, a raczej wydarzenie z kategorii performance art, polegał na swoistej wizualizacji własną grą odtwarzanych z płyt ulubionych utworów jazzowych oraz komentowaniu ich ciekawymi anegdotami z życia ikon jazzu. Olszewski zaimponował nie tylko grun-

towną wiedzą (znajomość kanonu i nowinek ze świata jazzu), ale też skromnością i inteligentnym humorem. Kiedy oklaski radomskiej publiczności mieszały się z żywiołowym aplauzem zarejestrowanym na oryginalnej płycie, Olszewski skomentował: „Właśnie na tym polega ten performance”.

14 i 15 listopada w restauracji i kawiarni „Legenda” odbyły się dwa ostatnie koncerty festiwalu. Najpierw propozycja dla wielbicieli standardów jazzowych, które Kasia Komorek zaśpiewała z niezłym feelingiem, a pomógł jej w tym jazzowy band (Maciek Kądziera – saksofon, Marek Kądziera – gitara, Michał Szkil – fortepian, Krzysztof Błaszczewicz – kontrabas, Ryszard Kupidura – perkusja).

Na zakończenie festiwalu najnowsze dokonania przedstawił New Bone – radomski kwintet jazzowy prowadzony przez trębacza i flugelhornistę Tomasza Kudyka. Lider formacji od lat wiernie trzyma się mainstreamowego nurtu, jednocześnie dba, by jego muzyczne propozycje brzmiały świeżo i niebanalnie. Do realizacji nowego projektu trochę zmienił skład zespołu – do lidera i basisty Macieja Adamczaka i znanego z poprzedniego albumu młodego perkusisty Dawida Fortuny dołączyli dwaj nowi członkowie: saksofonista Bartłomiej Prucnal oraz Dominik Wania, jeden z wyróżniających się w Polsce pianistów jazzowych młodego pokolenia. Program koncertu w większości wypełniły interpretacje utworów Bronisława Kapera i Henryka Warsa, pochodzące z płyty „Follow me”. Popularne piosenki Warsa nieco zaskoczyły słuchaczy – na czas odważnej improwizacji przyjmowały tajemnicze oblicze, a potem powracały już rozpoznawalne w melodyjnym temacie. Nowa propozycja Kudyka oprócz dobrego wykonawstwa zawiera właśnie ten istotny walor – akcentuje rolę i zadanie jazzowego aranżera. Autorami aranżacji utworów byli: Andrzej Jagodziński, Joachim Mencil, a także Dominik Wania, co podkreślił lider zespołu.

Kolejna edycja spotkań z jazzem za nami. I tym razem organizatorzy festiwalu postara-



li się o jego różnorodność. Warto podkreślić, że w większości odwiedzili nas artyści, którzy w ostatnim czasie pracowali nad nowymi projektami. Można było posłuchać bluesa i wielu odmian jazzu – od klasycznych standardów,

poprzez nowoczesne formy mainstreamu, na zjawiskach wykraczających poza jazzową stylistykę kończąc. Tegoroczną ofertę jak zwykle doceniła wierna publiczność.

*Krzysztof Majerczyk*

## Dwie świąteczne fotografie

Marta Wiktoria Trojanowska

– Ania! Moja Ania! – wykrzyknęła, a na jej twarzy widać było zaskoczenie. I zwykle ludzkie wzruszenie. Trzymała w ręku starą lalkę ubraną w strzępek materiału. Przytuliła ją mocno do siebie. Była Wigilia, 66 lat po wojnie. Na kolorowym zdjęciu wykonanym zaraz po odpakowaniu prezentów siedzi na fotelu, w centralnym miejscu jako najstarsza w rodzinie, i mocno trzyma swoją Anię.

\*

– Dzieci, zaraz przyjdzie pan Wanat! Edward, zapal świece na choince! Czy Krzysio już przebrany? Elżbietko, gdzie twoja kokardka? Popraw rajstopki! Nie, nie... załóż tę czarną, daj, pomogę ci... O, już puka do drzwi...

Przyszedł, jak rodzice prosili. Postawił aparat na masywnym statywie. Nie spieszył się, tak jak nie spieszył się nigdy. Wiktoria – nestorka rodziny, usiadła w bujanym wiklinowym fotelu i pewnie wysunęła się do przodu. Po jej bokach ustawił dzieci; za nimi stanęli rodzice i ciocia. Krzysio, trochę przerażony, położył maleńką rączkę na kolanie babci. Fotograf utrwalił czuły splot dziecięcej rączki z pomarszczoną babciną dłonią... Pamiątkowe zdjęcie, które znalazłam w rodzinnym albumie. Świąteczna fotografia; rodzina w ciasnym kadrze, w tle prawdziwa choinka z ręcznymi ozdobami, bo innych nie było. Spokojne, statyczne zdjęcie. Jedyną dynamiczną postacią jest właśnie... lalka Ania, którą trzyma pięcioletnia Elżbietka. Z rączką

podniesioną do góry, jakby próbowała się zasłonić albo... otrzeć łzy. Jest koniec 1944 r. Za kilkanaście dni skończy się okupacja. Armia Czerwona wyprze niemieckie oddziały. Zanim to jednak się stanie, rodzinę ze zdjęcia czekać będzie kilka dni spędzonych w piwnicy. Pięcioletnia Elżbietka zapamięta dobrze ten czas. „Gdy były naloty na radomskie lotnisko, rodzice bali się, że jakaś bomba uderzy w nasz dom. W końcu ul. Staroopatowska nie była aż tak daleko od lotniska, żeby czuć się bezpiecznie. Schodziliśmy do piwnicy przez kuchnię. Było tam dużo rzeczy: leżanki, pościel, co jakiś czas tata wychodził, patrzył w niebo, słuchał i znosił nam jedzenie. Były też kilofy i łopaty” – opowie mi po latach dorosła Elżbieta. I była lalka Ania. Właśnie ją mała dziewczynka zapamiętała najbardziej. Opatulała w poduchy i zносиła do schronu, żeby i tam „opiekować się” nią tak jak w domu. Nie pamięta, kiedy i od kogo dostała Anię, ale wie na pewno, że lalka towarzyszyła jej w schronie, gdy wyzwalali Radom. Ale i trzyletni Krzysio ze świątecznej fotografii zachował jedno silne wspomnienie z wojny. Kiedy był z mamą na mszy w małym, nieistniejącym już dzisiaj kościółku na Młodzianowie, dwóch Niemców wjechało na koniach do wnętrza świątyni, siejąc popłoch wśród ludzi uciekających w kierunku ołtarza. Długo się bał potem chodzić do kościoła, to był tam „popłuch” – jak mówił. I bał się samolotów. Kiedy po wojnie dzieci krzyczały: „Iwan leci!” – ucie-

kał z podwórka do domu. A potem, czemu nie dziwi ta ironia losu, pracował na lotnisku... Na świątecznej fotografii ma jednak niezmiennie trzy lata i lekko przerażoną twarz...

\*

A kiedy na radomskim niebie ucichło, przyszedł pan Wanat z wywołanym zdjęciem. Był zaprzyjaźnionym i szanowanym przez wszystkich sąsiadem. Jego imię utonęło jednak w niepamięci, jak większości anonimowych ulicznych fotografów, którzy nie sygnowali ani nie podpisywali swoich zdjęć, a oddali późniejszym mieszkańcom Radomia największą z możliwych przysług...

Po prostu pan Wanat. Chodził z aparatem po domach, najmował się na uroczystości. W rodzinnym albumie zachowało się kilka fotografii jego autorstwa. W pamięci Elżbietki zaś... szklane negatywy, którymi bawił się później Krzysio i reszta młodszego rodzeństwa. Wszak pod światło widać było na nich dobrze rodziny, trochę czarodziejski świat... Musiał więc fotografować zaprzyjaźnionych sąsiadów nie raz. Mała Elżbietka zapamiętała mieszkowy aparat i światło magnezji, choć ja myślę, że to już nie była magnezja... Do dzisiaj nie wie jednak, czy pan Wanat utrzymywał się tylko z fotografii, czy jedynie w ten sposób dorabiał. Podobno mieszkał w narożnym domu, ale tu pamięć zawodzi. Który to, i czy jeszcze stoi... Ulica Staroopatowska przeszła przecież tyle przeobrażeń... Przedwojennych domów zostało niewiele, a ci, którzy mogliby coś jeszcze pamiętać, zostali przesiedleni i na pewno pomarli... Nie ma kogo zapytać... A ze świątecznej fotografii żyje już tylko Elżbietka...

\*

A co z lalką Anią owijaną w poduchy podczas ucieczek do schronu? Przeleżała w szafie rodzinnego domu ponad 50 lat. Odnalazła ją przypadkiem najmłodsza siostra 75-letniej już dzisiaj Elżbiety i zapakowaną jak prezent położyła pod choinką. Ironia losu... najmłodsza siostrzyczka zwróciła starszej w wi-



fol. archiwum autorki

gilijną noc okrucy dzieciństwa... A rodzinna fotografia została powtórzona. Na tle sztucznej choinki z kolorowymi lampkami i ozdobami z supermarketu. Tylko lalka Ania nie ociera już łzy... Dorosła Elżbietka przytula ją mocno... Wiem, bo robiłam to zdjęcie...

*Marta Wiktoria Trojanowska*

PS Tekst został oparty na okupacyjnych wspomnieniach Elżbiety Bąk. Urodziła się w 1939 r. i dzieciństwo spędziła w narożnym domu przy zbiegu ulic Staroopatowskiej i Kośnej. Być może ktoś będzie wiedział coś więcej na temat działalności fotograficznej pana Wanata. Autorka tekstu będzie wdzięczna za wszelkie informacje.



## Rzeźba jako sen i opowieść

Jacek Waltoś

6 października tego roku w wieku 70 lat zmarł w Paryżu Igor Mitoraj. Autor posągów w marmurze i w brązie, obecnych na placach i w muzeach prawie całego globu. Niezwykła sława tego artysty, od jego pierwszej wystawy paryskiej w 1976 r., nie była ściśle wliczana do naszych polskich sukcesów. Mitoraj był od 1968 r. emigrantem, co nie znaczy, że nie przyznawał się do swego pochodzenia i wychowania w Polsce, a darując swoje go „Anioła” poległym w II wojnie Polakom na cmentarz w Ankonie, potwierdził swoją więź z krajem. Kiedy jednak po latach sukcesów i sławy w świecie urządzono mu wielkie pokazy w przestrzeniach miejskich Poznania, Krakowa i Warszawy w sezonie 2003/2004, spotkał się z zadziwiającą niechęcią publiczności. Ten powrót był dla niego bardziej przykrością niż radością. Wystawa nagich, najczęściej męskich postaci w przestrzeni miast Sarmacji nad Wisłą i Wartą wprawiała widzów, nieobytych ze sztuką antyczną na co dzień, w święte oburzenie. Rzeźbiarz spotkał się również z agresją krytyków prezentujących aktualny mainstream w sztuce, widzących w tej figuratywnej rzeźbie paseizm estetyczny, a w warsztatowej perfekcji znamiona anachroniczności. Prawie kicz, choć podziwiany przez wyrobioną nie tylko zachodnią publiczność i muzealnych kuratorów.

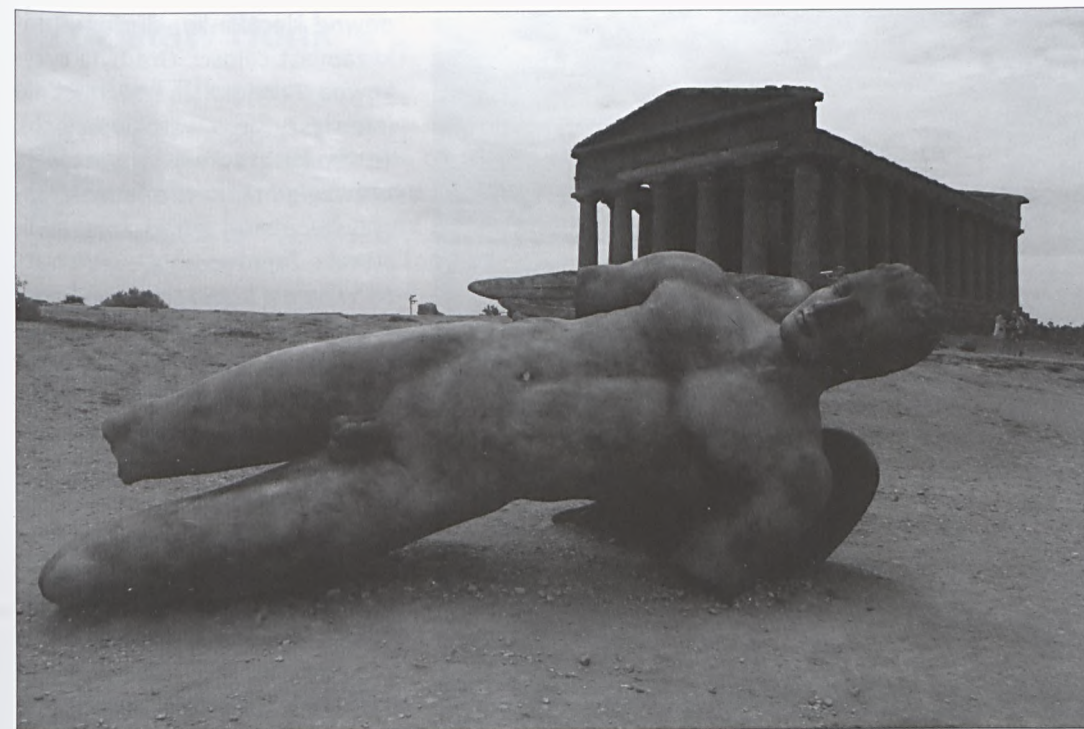
\*\*\*

Jubilerska obróbka detalu, uzyskiwanie gładkiej lub chropowatej powierzchni. Te rzeźby są bez masy, są widocznymi z każdej strony ścianami pozytywowej i negatywowej powierzchni o wyrafinowanej linii krawędzi, noszą w sobie, mimo często wielkich wymiarów, cechy miniatury figurek w srebrze z pierwszego okresu twórczości. Nie zapominajmy, że i Lorenzo Ghiberti i Benvenuto Cellini byli złotnikami dającymi swej dojrzałej rzeźbie polor kunsztownego cyzelowania. A proveniencje rzeźbiar-

skiego warsztatu bywają różne: stolarstwo, kamieniarstwo, murarstwo czy kowalstwo wpływają na styl rzeźby. Stąd zarzut, że monumentalne nawet realizacje Igora Mitoraja są jak powiększone precjoza, są zaledwie modelami, a może i makietami, których powiększenia szukają swej skali i miejsca wśród architektury i przestrzeni miejskich. Zaskakują i niepokoją, bo nie odnoszą się do zastanych proporcji i wymiarów. Ale właśnie ten moment – utrwalaony w marmurze lub w brązie – jest niespodzianką, stanem zdziwienia, cechą dramaturgii tych każdorazowych spotkań. Także w obrębie figury zaskakują zmiany skali i dygresje w narracji: w duże powierzchnie ingerują małe wtręty o odrębnej symbolice. Wykrawywane ażury, pęknięcia i opłoty naruszają pewność i jednolitość kształtu tych figur, i tak składanych często z elementów pozornie przypadkowo zespojonych. Czasem zdaje się, że złutują się tu i łączą dalekie sobie i obce fragmenty: nogi, torsy, skrzydła, by związać się odtąd w nierozdzielalną całość. Daje się odczuć jakąś umowność, trochę jak zdarzenia w przestrzeni obrazów Giorgia da Chirico, lub jak teatralność filmu „Satiricon” Federica Felliniego. Miraż antyczności, a nie naśladowanie antyku. I współpraca ze świetnymi kamieniarzami i odlewnikami w Pietrasanta, gdzie Igor Mitoraj pracował od 1983 r., dająca efekt wirtuozerii tak wzgardzonej przez radykalnych przeciwników wartości manualnych i warsztatowych w sztuce dzisiejszej.

\*\*\*

Swoimi rzeźbami stawiał to, co wynosimy pod powiekami z muzeów starożytności, z ruin antycznych, wędrowek po wykopaliskach. A więc piękno we fragmentach, szczątki całości, które łączył i zspalał w swoich kołach – sklejał, rekonstruował. Można by powiedzieć, że uprawiał tautologię; to co było, powtarzał raz



■ Rzeźba Igora Mitoraja obok Świątyni Concordii w Agrigento

jeszcze, oczywistości nadawał jedno więcej potwierdzenie. Ale osobista decyzja nadała rzeźbom Igora Mitoraja swoistą postać opowieści o nostalgii za pięknem wcielonym, a snutej w drugiej połowie XX w., kiedy kategorii piękna nie używano już w języku sztuki. Zrobił to na własny rachunek, wbrew coraz bardziej ideologicznej koncepcji sztuki dzisiejszej, wbrew nowym technologiom przesuwającym wizualizację ku mediom elektronicznym. Niewczesny klasycysta, zapóźniony akademik lub, w najlepszym wypadku, postnowoczesny kompilator. Zdobywając sławę, ściągnął na siebie w rewanżu inwektywy. Figuratywna, precyzyjnie zrealizowana w materiale rzeźba, tak jawnie odnosząca się do tradycji, budziła konsternację w momencie powszechnego odchodzenia rzeźby w stronę performatywnej dematerializacji dzieła. Tym bardziej, że rzeźbiarskie marzenia Igora Mitoraja oplatały się wokół greckich ideałów, tak dawno już nieobecnych w sztuce dzisiejszej. Pod kryptonimem mitologicznych tytułów i odniesień uprawiał sztukę o sztuce: „Al-

bowiem w odniesieniu do jego sztuki niemożliwe jest jakieś proste rozdzielanie formy i treści. Wiele treści zawiera sama forma: rzeźba jest zasadniczo o sobie, jej znaczenie ma być odbierane przez widza jakby trzewiami, poprzez instynktowne reakcje i emocje, jakie tym reakcją towarzyszą”<sup>1</sup>.

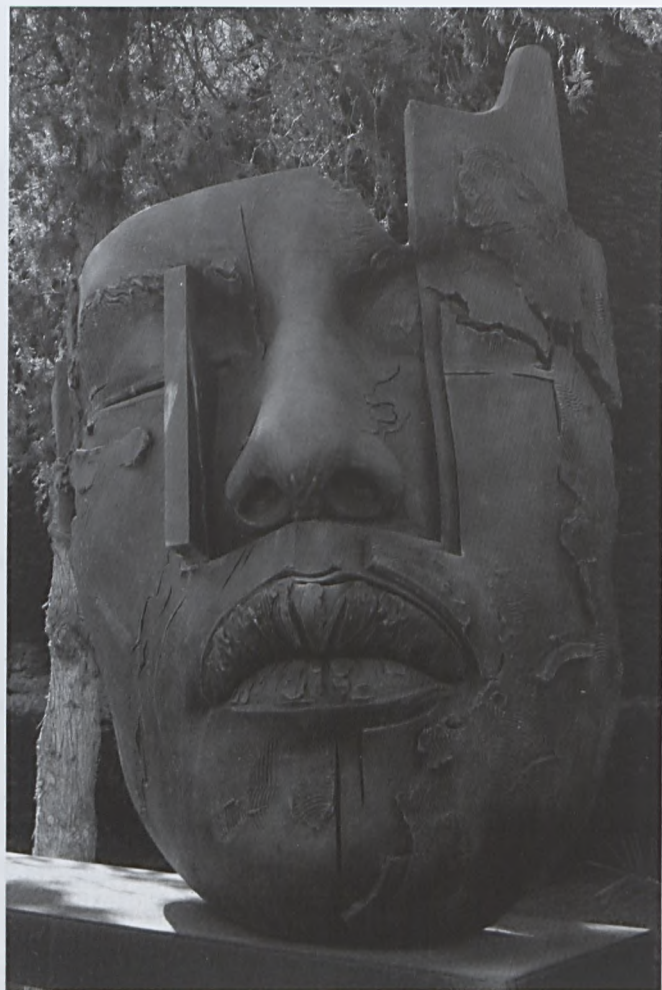
Dotykalne i materialne ułamki zdają się wzajemnie odszukiwać, łączyć i spajać na nowo, bardziej chaotycznie niż proporcjonalnie, skazane na wędrowkę naszej rozproszonej pamięci o kiedyś poszukiwanej harmonii. Której próby układane przez abstrakcjonistów – neoplastycyzm czy konstruktywizm – jako utopia społeczna – uległy niszczycielskiej sile wojny. A wśród jej gruzów, 26 marca 1944 r., urodził się Igor Mitoraj.

\*\*\*

Wydawało się, że nastroszenie, a raczej nieufność, jaka panuje często współcześnie pomię-

<sup>1</sup> John Russell Taylor – „Igor Mitoraj: klasycyzm i surrealizm”, [w:] *Mitoraj* MCK, Kraków 2006, s. 78.





fot. S.Z.Kamiński

■ Rzeźba Igora Mitoraja przed Muzeum Archeologicznym w Agrigento

dzy artystami a widzami, Igor Mitoraj łagodził, omijał je, bo działał w sferze oswojonych form i odniesień. Ale tam tylko, gdzie znajomość antyku nie przeszkadzała w czerpaniu z jego wzorów, bo zadziwiająca obecność rzeźb tego artysty na terenie rzymskich Targów Trajana w 2004 r. dawała potwierdzenie śródziemnomorskiej tożsamości sztuki. Rozróżniano to, co jest pierwowzorem i oryginałem historycznym, od gry kliszami pamięci, jaką Igor Mitoraj wprowadził do swojej twórczości, dla której zasadniczym impulsem było przywoływanie „raju utraconego”. A także ironiczna, za-

pewne cierpka konkluzja: ułomki zamiast całości. Gra była ryzykowna. Przyjęto się powszechnie (nie słyszy się o wątpliwościach), że sztuka grecka jest wartością bezwzględną. Każde jednak klasycystyczne jej odradzanie, stylizacyjne zapożyczenia – tak obecne w naszej kulturze europejskiej – są już wartością względną. To samo już poddaje operacje Igora Mitoraja pod wątpliwości, odnosząc jego rzeźby do nurtu stylizacji, wtórnego przetwarzania. Czy nił to jednak jawnie i z determinacją, uprawiając swoją Herbertowską podróż „barbarzyńcy w ogrodzie”, Polaka w Italii odnajdującego się „w cudzym pięknie” Adama Zagajewskiego. I w Pizie trwa jeszcze, obok Duomo i Krzywej Wieży, jego wielka plenerowa wystawa rzeźb, otwarta za życia artysty. Można zapytać, czy działa kontrastem, czy przyswojeniem?

**Jacek Waltoś**

13 listopada 2014 r., Kraków

Igor Mitoraj (1944–2014) urodził się w czasie wojny, w Oederan w Rudawach. Dzieciństwo i młodość spędził w miejscowości Grojec. Po ukończeniu Liceum Plastycznego w Bielsku-Białej wstąpił w 1963 r. na Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie studiował malarstwo pod kierunkiem Tadeusza Kantora. W 1968 r. po studiach wyjechał do Paryża studiować w École Nationale Supérieure des Beaux-arts. Tworzył poza granicami Polski (Francja, Włochy). Rzeźby i rysunki Igora Mitoraja pokazano na 120 wystawach indywidualnych na całym świecie. Jego rzeźby, często gigantycznej wielkości, stoją w reprezentacyjnych punktach wielu miast – m.in. w Paryżu na La Défense oraz w Rzymie, Mediolanie, Lozannie, Londynie, Krakowie, Scheveningen koło Hagi, w USA i Japonii. Zmarł 6 października 2014 r. w Paryżu.

## Zdzisław Heńk

Barbara Pikiewicz

Ostatni dzień października. Na cmentarzu rzymskokatolickim w Radomiu, już w półmroku, zabrzmiała odegrana na trąbce melodia „Oczarowanie”, zapożyczona jako sygnał do rozpoczęcia audycji dziennikarsko-artystycznej „Żywe słowo”, którą latami współredagował. Takie było życzenie zmarłego dziennikarza Zdzisława Heńki. Potem słysząc było już tylko „Ciszę”...

Pochodził z Polesia, urodził się w miejscowości Łuniniec (dzisiejsza Białoruś). Po wybuchu II wojny światowej stracił bezpowrotnie ojca, wywiezionego do łagru. Do Radomia wraz z matką trafił w ramach repatriacji, dzieląc losy tysięcy Polaków z Kresów. Tutaj ukończył niezwykle popularną w ówczesnym pokoleniu młodzieży „Handlówkę”, jednak kariera buchaltera czy głównego księgowego, do których doszło wiele koleżanek i kolegów ze szkolnej ławy, jemu nie była pisana. Kto zna red. Heńkę, ten potwierdzi, jak niewielką wagę przywiązywał do liczenia i pieniędzy. Zresztą, ten epizod niechętnie wspominał. Z wyjątkiem – rzecz jasna – przyjaźni, które przetrwały na całe życie.

Tym, co okazało się jego prawdziwym powołaniem, było dziennikarstwo. Zawodowe szlify zdobywał w redakcji „Życia Radomskiego”, u boku red. Bronisława Dudy, Anny Nowackiej, Tadeusza Zimeckiego. Obcując z piórem, czuł się znakomicie. Wkrótce jednak zdolnego i dobrze zapowiadającego się reportera wypatrzyło szefostwo Kieleckiej Rozgłośni Polskiego Radia. W Radomiu właśnie powstawała redakcja zamiejscowa i Zdzisław Heńk został jej pierwszym kierownikiem. Z dziennikarstwem „papierowym” nigdy nie zerwał kontaktów, publikował m.in. na łamach „Tygodnika Radomskiego”. Ukończył studia na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Należał do Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, później Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej.



fot. archiwum autorki

W zawodzie był perfekcjonistą. Każde słowo czy zdanie, pisane czy mówione, musiało być dopieszczone do granic możliwości. Jeśli w gotowym już materiale pojawił się jakiś błąd lub poprawka stylistyczna, maszynistka musiała przepisywać wszystko od początku. W pracy radiowca godzinami potrafił stać przy montażówce, aby jak najlepiej opracować nagranie. Przy tamtej technice gotową audycję należało dostarczyć do Kielc. Jechał więc na rogatki Radomia, prosząc zatrzymanych kierowców o dostarczenie do radia szpuli z taśmą. Gdy sam prowadził poranne audycje – lato czy zima, deszcz czy mróz – pokonywał trasę swoim czerwonym maluchem, jak żartowali koledzy w redakcji – strażackim wozem bojowym.



Co ważniejsze newsy z życia Radomia i regionu przysyłał kablem do serwisów informacyjnych Programu I Polskiego Radia. Ale tym, co w dziennikarstwie pochtaniało go bez reszty, był człowiek. Miał dar wyszukiwania ciekawych osobowości choćby na końcu świata. Im poświęcał wypracowane do bólu reportaże, nagradzane wielokrotnie w ogólnopolskich konkursach.

Portret red. Zdzisława Heńka byłby niepełny bez choćby odrobiny prywatności. Tak jak w pracy – pedantyczny, przywiązujący wagę do szczegółów, poukładany, ale i wielce szarmancki, zwłaszcza w stosunku do kobiet. Miał mnóstwo wielbicieli. Dżentelmen w każdym calu, i to już w pierwszym kontakcie: przy powitaniu, ukłonie, miłym uśmiechu, wypowiedzianych słowach. No i ubiór: idealnie skrojony do figury garnitur, starannie wyprasowana koszula, w marynarce konieczna wypustka w odpowiednim kolorze. W porze jesienno-zimowej na głowie charakterystyczny duży берет. Wszystko to składało się na postać barwną i niepospolitą.

W wyglądzie i podejściu do dziennikarstwa był trochę de mode, co nie zmienia faktu, że zawsze był reporterem z krwi i kości. Również

wtedy, gdy już przeszedł na emeryturę. Niestety, ostatnie miesiące stały się dla tak rasyowego dziennikarza trudnym egzaminem. Choroba parkinsona dokuczała z coraz większym natężeniem. Odezwały się kłopoty ze wzrokiem, prawie uniemożliwiając czytanie gazet, książek. Przyszło też ograniczyć oglądanie telewizji. A to już coś więcej niż przykre dolegliwości. Pozostało jednak ukochane radio jako główny środek łączności ze światem ludzi, wiadomości z kraju i ze świata. Także ludzie radia i mediów w ogóle, dla których na zawsze pozostanie symbolem dziennikarstwa, jakiego dziś już nie ma. Bynajmniej nie tylko w wymiarze technicznym.

„Największą nagrodą, jaką życie oferuje, jest możliwość wytężonej pracy nad czymś, co jest warte”. Te słowa 26. prezydenta Stanów Zjednoczonych – Theodore Roosevelta posłużyły na motto wyryte na grawerze, jaki nie tak dawno otrzymał red. Zdzisław Heńk na okoliczność jubileuszu 80-lecia, bodajże od Marszałka Województwa Świętokrzyskiego. Nic bardziej trafnie nie oddaje filozofii życia Jubilata.

**Barbara Pikiewicz**

**Zdzisław Heńk (1932–2014)** – dziennikarz, absolwent Wydziału Dziennikarskiego i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. W okresie PRL-u był redaktorem „Życia Radomskiego”, Kieleckiej Rozgłośni PR, potem jej radomskiej redakcji, był też laureatem konkursów na reportaż. Zajmował się także konferansjerką na licznych uroczystościach i imprezach. Najbardziej znany był z prowadzenia spotkań dziennikarsko-artystycznych „Żywe Słowo” (wraz z Jerzym Figasem) w radomskim Empiku. Spotkania te odbywały się także w okresie stanu wojennego. Za swoją działalność został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Złotym Krzyżem Zasługi.

## KRONIKA październik – listopad 2014

### Iłża

**23.11.2014.** W Domu Kultury odbyły się XXII Ogólnopolskie Spotkania z Balladą. Laureatką pierwszej nagrody została Sylwia Zelek z Kielc. Gwiazdą koncertu finałowego był Apolinary Polek z zespołem Dobry Diabeł.

### Kowala

**3.10.2014.** W Publicznej Szkole Podstawowej zorganizowano promocję książki *Kowala w powiecie radomskim, przeszłość, teksty źródłowe, 21 sierpnia 1863 roku*, której autorem jest znany radomski regionalista Stanisław Zieliński.

### Kozienice

**8.10.2014.** „Śladami Cyryla i Metodego – od Moraw do Chorwacji” to tytuł wystawy otwartej w Centrum Myśli św. Jana Pawła II przy parafii pw. Świętej Rodziny. Prezentowała ona dzieje alfabetu głagolicy i obряду słowiańskiego.

**20.10.2014.** Dom Kultury zaprosił na monodram „Tylko jedna” w wykonaniu Radosława Mazura.

**14.11.2014.** W Szkole Muzycznej odbył się koncert z okazji Roku Kolberga. Wystąpił radomski zespół Frument Project, a gwiazdą wieczoru była Kapela ze wsi Warszawa.

### Orońsko

**4.10.2014.** W Centrum Rzeźby Polskiej otwarto trzy nowe wystawy. W Muzeum Rzeźby Współczesnej zaprezentowano wystawę zbiorową Triennale Młodych „Kunst 7TM”, której kuratorem był Leszek Golec. We współpracy z Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski w Warszawie przygotowano wystawę Grzegorza Drozda „Where you go, Mister?”, zorganizowaną w galerii „Oranżeria” i w pałacu Józefa Brandta, natomiast w galerii „Kaplica” pokazano prace Huberta Czerepoka. Ekspozycja została zatytułowana „Redrum”.

### Radom

**2.10.2014.** W Archiwum Państwowym otwarta została wystawa „Wielka Wojna. Radom i region radomski w czasie I wojny światowej”.

**3.10.2014.** W „Łaźni” Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii otwarta została wystawa „Nomen Woman” z udziałem artystów polskich i zagranicznych.

**4.10.2014.** Monodram „Audiencja II” Bogusława Schaeffera w reżyserii i wykonaniu Mikołaja Grabowskiego rozpoczął cykl małych form teatralnych M-3, po raz kolejny zorganizowany przez Dom Kultury „Borki”.

**5.10.2014.** Muzeum Wsi Radomskiej zaprosiło na doroczny Festiwal Ziemniaka.

**5.10.2014.** Tydzień Kultury Chrześcijańskiej obfitujący w wystawy, spotkania, koncerty, spektakle teatralne, pokazy filmowe, odbywające się w instytucjach kultury oraz radomskich kościołach, rozpoczął się spotkaniem autorskim z Janem Pospieszalskim w kościele pw. Matki Bożej Miłosierdzia.

**16.10.2014.** W Domu Kultury „Idalin” otwarto wystawę malarstwa Krzysztofa Mańczyńskiego.

**17.10.2014.** „Węgierski pomnik pamięci – fejfa hungaricum” – to tytuł wystawy otwartej w Muzeum Wsi Radomskiej, zorganizowanej pod patronatem Ivana Gyurcsika, ambasadora Węgier w Polsce.

**17.10.2014.** W ramach XIII Radomskiego Festiwalu Jazowego w Amfiteatrze wystąpił Sławek Wiercholski i Nocna Zmiana Bluesa.

**17.10.2014.** W Muzeum im. Jacka Malczewskiego otwarto wystawę „Kobiectwo oblicze świata”.

**23.10.2014.** „Łaźnia” Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria zaprosiła na koncert duetu gitarowego: Mateusz Murawski i Marek Zyskowski.

**23.10.2014.** W Muzeum im. Jacka Malczewskiego otwarta została wystawa „Czerwień – gród między Wschodem a Zachodem”.

**23–27.10.2014.** Fundacja Ars Antiqua Radomiensis zaprosiła na cykl koncertów w ramach XVIII Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Dawnej im. Mikołaja z Radomia.



**24.10.2014.** W sali Radomskiej Orkiestry Kameralnej widzowie obejrzeni spektakl „Wariatka” według tragi-farsy Nadieжды Ptuszkiny. W rolach głównych wystąpili Edyta Olszówka i Lesław Żurek.

**24.10.2014.** W Muzeum Sztuki Współczesnej otwarto wystawę planszową poświęconą Janowi Nowakowi-Jeziorańskiemu.

**24.10.2014.** W Ośrodku Kultury i Sztuki „Ressursa Obywatelska” otwarta została jubileuszowa wystawa grafiki, rysunku i malarstwa prof. Aleksandra Józefa Olszewskiego z okazji 40 lat pracy twórczej.

**24.10–15.11.2014.** „Łaźnia” Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria zorganizowała 13. Radomski Festiwal Jazzowy. Z tej okazji koncertowali w Radomiu między innymi: Ajagore, Przemysław Strączek International Group, Kasia Komorek Jazz Band, New Bone.

**25.10.2014.** Zakończył się XI Międzynarodowy Festiwal Gombrowiczowski. Grand Prix zdobył spektakl „Operetka” w wykonaniu Teatru Narodowego z Budapesztu. Impreza rozpoczęła się 18 października spektaklem „Przenikanie” w reżyserii Waldemara Śmigasiewicza.

**25.10.2014.** Odebyły się XXXIV Ogólnopolskie Spotkania z Piosenką Żeglarską, Turystyczną i Harcerską „Rafa” 2014.

**31.10.2014.** Znany i ceniony radomski artysta malarz Witold Kowalski obchodził jubileusz 45-lecia pracy twórczej. Z tej okazji w „Łaźni” Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii otwarto wystawę jego prac.

**4.11.2014.** W sali Radomskiej Orkiestry Kameralnej odbył się koncert zaduszkowy poświęcony ludziom radomskiego życia kulturalnego zmarłym w latach 2012–2014.

**6.11.2014.** Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia” zainaugurowało działalność w nowej siedzibie przy ul. Kopernika 1. Uroczystości towarzyszył wernisaż wystawy „Specimen – próba kolekcji” oraz koncert Ryszarda Ługowskiego na gongach tybetańskich.

**8.11.2014.** Na scenie Kotłownia w Teatrze Powszechnym im. Jana Kochanowskiego odbyła się premiera sztuki Christiana Giudicellego „Pierwsza młodość” w reżyserii Julii Wernio.

**10.11.2014.** Nauczyciele i uczniowie Zespołu Szkół Muzycznych im. Oskara Kolberga dali koncert muzyki polskiej, zorganizowany z okazji Święta Niepodległości.

**14.11.2014.** W Miejskiej Bibliotece Publicznej otwarto wystawę malarstwa Krzysztofa Mańczyńskiego. Wernisażowi towarzyszyła prezentacja książki *Krzysztof Mańczyński. Malarz – pedagog we wspomnieniach i opiniach współczesnych*.

**15.11.2014.** Radomska Orkiestra Kameralna koncertowała pod batutą gościnnie występującego bułgarskiego dyrygenta Stanislava Ousheva. Towarzyszył jej pianista Ivo Varbanov.

**17–30.11.2014.** W Resursie Obywatelskiej trwały Dni Karskiego, które zainaugurowało otwarcie wystawy „Jan Karski. Człowiek wolności”. Współorganizatorami imprezy było Muzeum Historii Polski w Warszawie oraz Radomski Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli.

**21.11.2014.** W Ośrodku Kultury i Sztuki „Ressursa Obywatelska” otwarta została wystawa akwareli Ryszarda Majkowskiego „Żeglarskie notatki”.

**22.11.2014.** Fundacja Ars Antiqua Radomiensis zaprosiła na koncert galowy Konkursu Mikołajów II Ogólnopolskiego Konkursu Muzyki Dawnej, który odbył się w sali koncertowej ROK.

**25.11.2014.** Otwarto 24. Wystawę Okręgu Radomskiego ZPAP. Tym razem prezentacja rocznego dorobku artystycznego radomskich plastyków została zorganizowana w galerii „Łaźnia” przy ul. Traugutta. Zaprezentowano prace 33 twórców.

**28.11.2014.** W Domu Kultury „Borki” otwarta została wystawa „Nieznane oblicza Iranu”. Podczas wernisażu prelekcje zatytułowaną „Irańskie impresje” wygłosiła Aleksandra Szymczyk.

**30.11.2014.** W sali koncertowej Zespołu Szkół Muzycznych odbył się koncert finałowy II Międzynarodowego Konkursu Kompozytorskiego Krzysztofa Pendereckiego „Arboretum”. Laureatką została Rita Ueda z Kanady.



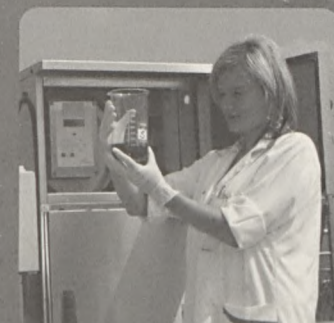
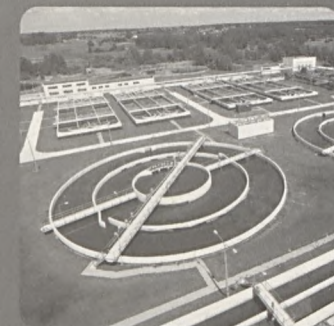
INFRASTRUKTURA  
I ŚRODOWISKO  
NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI

wodociągi  
miejskie

UNIA EUROPEJSKA  
FUNDUSZ SPÓJNOŚCI



## WODOCIĄGI MIEJSKIE W RADOMIU > źródło czystej wody



WODOCIĄGI MIEJSKIE W RADOMIU REALIZUJĄ PROJEKT  
„MODERNIZACJA I ROZBUDOWA GOSPODARKI WODNO - ŚCIEKOWEJ  
NA TERENIE AGLOMERACJI RADOM – ETAP II”

Projekt współfinansowany przez Unię Europejską ze środków Funduszu Spójności w ramach Programu Infrastruktura i Środowisko





**dostarcza**

**CIEPŁO**SYSTEMOWE



**CODZIENNA PRZYJEMNOŚĆ CIEPŁA**

[www.radpec.com.pl](http://www.radpec.com.pl)

[www.cieplosystemowe.pl](http://www.cieplosystemowe.pl)